

Tygodnik Polski

23, rue Taitbout
PARIS (IX)

CENA 0,60 F
PRIX 7 Fr.B.

LA SEMAINE POLONAISE

26 KWIECIEŃ 1967
AVRIL

Nr 13 (493)



WESOŁEGO ALLELUJA

F° P 2373

BIURO PODRÓŻY

TRANSTOURS

Oficjalny przedstawiciel „ORBIS” – licencja 132
22, rue du 4 Septembre – PARIS II – tél. 742-77-40
49, av. de l'Opéra – PARIS II – tél. 742-47-39
(metro: OPERA)

organizuje wyjazdy do Polski:

**Koleją dwa razy w tygodniu,
pociągami bezpośrednimi (bez żadnych przesiadek)
z PARYZA, LILLE oraz METZU do POZNANIA, WROCŁAWIA, KATOWIC i KRAKOWA**

T R A N S T O U R S

- załatwia wszelkie formalności paszportowe i wizowe dla wyjeżdżających koleją, samochodem lub samolotem,
- wystawia bony „ORBIS” wymienne w Polsce na złote,
- przekazuje pieniądze do Polski po bardzo korzystnej relacji,
- sprowadza krewnych z Polski do Francji na urlop,
- wystawia bilety kolejowe, lotnicze i okrętowe po cenach oficjalnych ze zniżkami „Congés Payés”, „Famille Nombreuse” etc...
- bilety turystyczne po cenach zniżkowych na przelot samolotem.

Zgłoszenia i zapisy przyjmuje TRANSTOURS oraz nasi korespondenci terenowi

„Au tailleur de l'Alouette“

HERBAUT-DENNEULIN

CENTRALA
62, rue de l'Alouette
ROUBAIX

UBRANIA NA MIARĘ
męskie i damskie



Niedościgniona jakość

Rewelacyjne ceny

SKLEPY

PARIS—130, rue Lafayette
LILLE—27, rue des Ponts de Comines
DOUAI—65, rue de Paris
LENS—20, rue de la Paix
DUNKERQUE—2, rue de Soubise

SPRZĘT
UŻYTKU
DOMOWEGO

**VINCENT
POUR
CENT 20%**

- ◆ Aparaty elektryczne
- ◆ Radioodbiorniki
- ◆ Telewizory
(najlepszy odbiór)
„Hi-Fi”

OSZCZĘDNOŚĆ — PEWNOŚĆ

Wszystkie najlepsze marki po najniższej cenie

IP 7, rue de la Cuve d'Or
VINCOURT MENAGER

D O U A I

122, Place d'Armes
VINCOURT ELECTRONIQUE

Wszystkim Polakom
we Francji, Belgii
i Luksemburgu

oraz

Francuzom i Belgom
polskiego pochodzenia
i ich rodzinom

WESOŁYCH
ŚWIĄT

i wiosennego nastroju
do następnej wiosny

życzy

Administracja i Redakcja
„Tygodnika Polskiego”
(Paryż IX, 23, rue Taitbout)



Emigracyjna Wielkanoc

PANIE REDAKTORZE!

Zacząłem pisać ten „List” wczoraj, ale już po słowach „Panie Redaktorze” wyrwała mnie z ledwo co rozpoczętej medytacji żona moja umiłowana. — Józefie! — padły ostre słowa. — Chodź-no do kuchni, będziesz mi kręcił ciasto na babki! — Oczywiście, przerwałem pisanie i z miejsca, choć bez szczególnego entuzjazmu, zabrałem się do roboty w



kuchni. Kiedy uporałem się już z tym kręceniem, zaraz zostałem zagnany do innej roboty, mianowicie do przesuwania z jednego kąta w drugi szaf i innych mebli. Bo żona „robiła ménage”, jak to się u nas mówi. Kiedy zaś skończyło się to przesuwanie mebli, kiedy zacząłem nieśmiało myśleć o tym swoim „Liście” — wówczas żonie przypomniało się, że zamówiła u naszego polskiego rzeźnika jakieś szynki i kiełbasy, i że ja muszę po to iść.

U rzeźnika była ogromna kolejka, wystąpiłem się tam tak, że — aż nogi jęły mi jakby wchodzić w tę część ciała, o której Bolesław Prus powiedział, że zaczyna się ona tam, gdzie plecy tracą swoją szlachetną nazwę, aż przypomniało mi się w pewnej chwili zasłyszane kiedyś w dzieciństwie

takie oto porzekadło dotyczące czasów, w których jakoby kiełbasy można było chwycić w locie, tak jak dziś łapie się motyle: „Gdzie się one czasy podziały, kiedy kiełbasy po świecie latały?” — Wystąpiłem się więc w tej kolejce wręcz potwornie, ale za to przyniosłem do domu naprawdę pysznie wyglądające i pachnące kiełbasy. Podobno sprowadzone od jakiegoś mistrza rzeźnickiego z Bruay. Leżą teraz na stole. Parówki — my nazywamy je z francuska „sosyskami” — pycha. Krakowska — też pycha, naprawdę. Metka, warszawska, święteczna — pycha, pycha, pycha. Nie myślcie, że próbowałem. Nie jestem żaden poganin, choć pycha, nie będę się przecież w Wielki Piątek kiełbasą opychał. Piszę „pycha” na podstawie zapachu ich i wyglądu. Wiercie mi. I — jak to powiada poeta — „wybaczcie, że wyliczam te wszystkie frykasy — lecz ojczyzna się składa także i z kiełbasy”.

Ojczyzna. Wszystko w domu — w wielu, bardzo wielu domach na Nordzie, we Francji, na całym świecie — składa się w trakcie Wielkiego Tygodnia na wspomnienie o Niej. Malujemy oto pisanki, „zwyczajne” „francuskie” jajka przemieniamy w kolorowe



polskie pisanki, pieczemy babki, przygotowujemy święcone, zdobimy święcone i dom bukszpanem, obmyślamy, kogo i jak trzeba będzie w poniedziałek wielkanocny „poczęstować” dyngusem... Zapewne — długie lata spędzone poza granicami Kraju sprawiły, że o niektórych zwyczajach zapomnieliśmy, inne znowu zmieniliśmy nieco, przystosowaliśmy je do sposobu życia kraju, w którym się osiedliliśmy. Zapomnieliśmy na przykład o zwyczaju tłuczenia jaj, zapomnieliśmy o tym, że w Wielki Piątek czarownice zaglądają do obór, żeby krowom zabrać mleko, no bo krowy od niepamiętnych już lat kojarzą nam się przede wszystkim z serem „La vache qui rit”, a czarownice włożyliśmy między bajki; dyngus „wiadrowy” przekształcił się u nas w dyngus „flakonikowy” (choć w pierwszych latach powojennych można jeszcze było oglądać w osiedlach górniczych prawdziwe, rzetelne dyngusy, dyngusy, w trakcie których całe kolonie, nie wyłączając Francuzów, entuzjastycznie oblewały się wiadrami wody). O niektórych zwyczajach nie mamy już więc prawie pojęcia, niektóre zwyczaje poddaliśmy naszej emigrancko-francuskiej przeróbce, ale nie zapomnieliśmy, nigdy chy-

ba nie zapomnimy o rzeczach zasadniczych: o pisankach, o babkach, o święconem, o bukszpanie, o tym, że w Wielkanoc należy się z każdym podzielić jajkiem i każdemu złożyć życzenia.

W tym Wielkim Tygodniu Polska jest jak gdyby wszechobecna, istnieje na całym świecie — w ruchach tysięcy często niewprawnych rąk emigranckich dzieci zajętych malowaniem pisanek, w trosce gospodyń o to, żeby święcone było jak najbardziej podobne do prawdziwego, rodzimego święconego, w emocji, jaką w takim starym jak ja emigrancie budzi widok całkiem na co dzień wypranych z poezji, lecz teraz owianych niezwykle urokiem francusko-polskich kiełbas.



Miło, doprawdy, miło jest pomyśleć, że tę uroczystą wielkanocną chwilę naszego życia zawdzięczamy Polsce. Miło jest także pomyśleć o tym, że tysiące naszych Rodaków rozsiadanych po całym świecie obchodzi Wielkanoc tak jak my, po polsku.

Wesołych Świąt, Drodzy moi.

Józef Gnybek



Przed 10-leciem „Tygodnika“

Jak zdobywałem czytelników dla naszego pisma

PRZEGLĄDAJĄC niedawno kilka-naście ostatnich numerów „Tygodnika“, wśród nich piękny numer świąteczno-norowoczny, zacząłem się zastanawiać, od ilu lat istnieje nasze pismo. Większość dzienników i magazynów podaje to na pierwszej stronie, ale w „Tygodniku“ tej informacji nie znalazłem. Dzięki temu jednak, że w moich zbiorach przechowuję komplet pisma od pierwszego numeru, łatwo stwierdziłem, że „Tygodnik Polski“ urodził się w ostatnim dniu września 1957 roku. Jednym słowem — ma prawie dziesięć lat.

Dziesięć lat, wydawałoby się, nie jest długim okresem. Jeśli jednak zdamy sobie sprawę, jakich wysiłków wymaga redagowanie i wydawanie pisma w dzisiejszych czasach, dojdziemy do wniosku, że 10 lat ukazywania się „Tygodnika“ to wielkie osiągnięcie.

Czy wszyscy czytelnicy zdają sobie z tego sprawę?

Często mam co do tego poważne wątpliwości. Wydaje mi się, że czytelnicy na ogół nie doceniają trudów ponoszonych przez redakcję „Tygodnika“. Moim zdaniem szkoda, że tak jest. Nie uważam, żeby słusze było stałe chwalenie gazety, którą się czyta. Można i trzeba krytykować ją, jeżeli zauważymy jakieś braki czy niedociągnięcia. Ale tam, gdzie można jej dopomóc, nie powinno się sprawy zaniedbywać. Wydaje mi się, że my, czytelnicy, możemy bardzo dużo pomóc naszemu „Tygodnikowi“ w jego rozwoju i jeszcze szerszym rozpowszechnieniu, ale bardzo często okazujemy w tych sprawach zupełną obojętność. Jestem pewny, że wielu spośród nas mogłoby znaleźć wśród swych znajomych i przyjaciół ludzi, którzy by zaabonowali „Tygodnik Polski“. Stałych czytelników pismo potrzebuje jak najwięcej. Znajdując ich moglibyśmy bardzo wydawnie przyczynić się do powiększenia nakładu „Tygodnika“. Dlaczego jednak nie robimy tego? Ścisłej mówiąc, dlaczego nie robimy tego wszyscy? Nie jest to przecież trudne!

NIE CHCĘ się chwalić, ale podam fakty, których ścisłość Redakcja może potwierdzić: od chwili ukazania się pierwszego numeru „Tygodnika Polskiego“ zwerbowałem ponad 200 stałych czytelników i to z różnych departamentów. Ponieważ pismo istnieje już prawie 10 lat, z rachunku wypada, że znajdowałem rocznie zaledwie 20 czytelników. Uważam, że to jest za mało i będę się starał w następnym dziesięcioleciu naszego miłego „Tygodnika“ o zdobycie większe. Tymczasem chcę podzielić się z przyjaciółmi pisma swym doświadczeniem. Sposób, jakiego używam, jest prosty. Mam stale w kieszeni numer „Tygodnika“ i za każdym razem, gdy spotykam Rodaka, który umie czytać po polsku, wręczam mu pismo i umawiam się, że go odwiedzę.

W odwiedzinach idę zwykle w niedzielę lub dni świąteczne, wiedząc, że wtedy Polacy goszczą krewnych lub znajomych, i to często z dalekich stron. I tym sposobem poznaję dużo ludzi, których mogę zwerbować dla „Tygo-

dnika“ Rzadko mi odmawiają. Najczęściej udaje mi się zdobyć nowego czytelnika, a czasami i dwóch. Moja osobista satysfakcja jest ogromna, gdy od zwerbowanych czytelników otrzymuję listy z podziękowaniem: pismo jest dobre, interesujące, czytanie po polsku sprawia dużo przyjemności.

W pracy tej pobiłem rekord w 1966 roku. Z jednym kolegą Francuzem pojechaliśmy wozem do znajomych w okolicy Montceau-les-Mines i tam w ciągu pół dnia zdobyłem 15 stałych abonentów, którzy z miejsca opłacili prenumeratę za pół roku. Dowiedziałem się w kilka miesięcy później (podczas pobytu w Paryżu odwiedziłem Redakcję „Tygodnika“), że wszyscy oni odnowili prenumeratę.

Powtarzam jeszcze raz, że wcale się nie chwale i piszę o tym tylko dlatego, żeby innych zachęcić do naśladowania mnie w zdobywaniu nowych abonentów naszego pisma.

POWRACAM do pierwszego numeru „Tygodnika“. Pamiętam, że dojechałem do rąk przypadkowo. Przeczytałem i kupiłem następnę numer. Po trzech miesiącach napisałem mój pierwszy list do Redakcji. Znałem już „Tygodnik“ i zdobyłem dla niego pierwszych trzech stałych prenumeratorów. Poczułem się wtedy już nie tylko czytelnikiem, ale i przyjacielem nowego pisma.

Nie jestem zdania, że trzeba wszystko w „Tygodniku“ wychwalać. Każdy czytelnik jedne artykuły bardziej lubi, inne mniej. Ale wszyscy chyba przyznają, że „Tygodnik Polski“ nie zachęcał nigdy do klótni, nie podniecał antagonizmów, ale cementował jedność wśród Polaków. Poruszając różne tematy, informując nas o wydarzeniach aktualnych, o tradycyjnej przyjaźni francusko-polskiej i coraz żywszych kontaktach między Francją i Polską, o problemach współczesnego świata, kształcił nas i wzbogacał duchowo. Redaktorzy pisma przemawiali do nas głosem szczerzej przyjaźni i tonem rodzinnego ciepła. Pisząc o naszej rodzimej Polsce, o jej Ziemiach Odzyskanych, przyczyniając się do zacieśniania związków Wychodźstwa z narodem francuskim — pracują tak, że możemy z pełną słusnością powiedzieć: dobra, rzetelna robota.

*

Zgłaszam następującą propozycję: z okazji 10-rocznicy istnienia „Tygodnika Polskiego“ warto urządzić skromne spotkanie w Paryżu czytelników-delegatów z różnych departamentów. Mam i drugą propozycję: wybić specjalny medal pamiątkowy dla uczczenia dziesięciolecia, lub przynajmniej portfel, które kolekcjonują dzisiaj tysiące ludzi.

Kończąc, życzę Redakcji — ponieważ jest to list w związku z jubileuszem założenia pisma — pomyślności w dalszej pracy i wyrażam nadzieję, że Polonia francuska i belgijska, której pismo służy, polubiła „Tygodnik“ podobnie jak ja i uważa go za swego dobrego i wiernego przyjaciela.

SLIMAK z Burgundii

RAPORT GEN. BREMERA

ALFONS MUELLER z Essen, który w liście do redakcji zachodniemieckiego czasopisma „Der Spiegel“ usiłował twierdzić, że Polacy wymordowali przed wojną tysiące volksdeutschów, powtórzył po prostu kłamstwa, jakimi III Rzesza oszukiwała świat, by znaleźć uzasadnienie zbrodniczego napadu na Polskę w 1939 r. Zwrócił na to naszą uwagę czytelnik p. Walentowski z Montigny-en-Ostrevent słusznie domagając się w tej sprawie wyjaśnień. Świat zapomina już stopniowo o hitlerowskich zbrodniach, a zachodniemiecka propaganda wielu rewizjonistycznych ogniw i różnych Alfonsów Muellerów odwraca kota ogonem, że to Polacy mordowali potulnych jak wielkanocne baranki Niemców. Mueller zrobił to z całym przekonaniem, bez cienia zająknięcia.

Wyjaśniliśmy w poprzednim numerze „Tygodnika Polskiego“ w tym miejscu — jak rzecz miała się naprawdę, odwołując się do autorytatywnych źródeł i osób. Nie wykorzystaliśmy jednak całej dokumentacji, jaka w tej sprawie istnieje, co jest rzeczą zrozumiałą.

Zbrodnie niemieckie na narodzie polskim i obywatelach kilkunastu innych narodowości, dokonane na ziemiach polskich, są tak wielkim ogromem, że samo tylko spisanie nazwisk i ofiar zajęłoby miejsce dużej biblioteki, o czym łatwo przekonać się w Muzeum Męczeństwa w Oświęcimiu.

W tych dniach otrzymaliśmy interesujący tom dokumentów, pt. „Pierwsze miesiące okupacji hitlerowskiej w Bydgoszczy w świetle źródeł niemieckich“, wydany staraniem miejscowego Towarzystwa Naukowego. Hitlerowskie Niemcy rozpropagowały Bydgoszcz po napaździe na Polskę najgłośniej, sprowadziły tu dziennikarzy z krajów osi i państw neutralnych, dowodząc im jakoby Polacy urządzili na niemieckiej ludności tzw. „krwawą niedzielę“. Polska nie mogła się wtedy bronić. Zaprzeczano wprowadzić tu i ówdzie, ale przecież na ziemiach polskich, gdzie te wszystkie zarzuty można było sprawdzić, panował wszechwładnie niemiecki terror. Rzesza jednak wojnę przegrała i mimo usilnych zabiegów, by zatrzeć ślady swych zbrodni, nie była tego w stanie uczynić bez reszty. To, co pozostało, jest dziś dostatecznym dowodem, jak to było przed wrześniem i po wrześniu 1939 r.

Wspomniany tom poza krótkim wstępem wydawców i tłumaczeniami zawiera wyjątki dokumenty niemieckie z owych dni, wówczas najściślej tajne, jakie kursowały między różnymi niemieckimi władzami — wojskowymi, policyjnymi, wywiadowczymi i miejscowymi zaufanymi komórkami niemieckimi, a także sprawozdania z różnych antypolskich akcji, aresztowań, egzekucji, zakładania obozów, rabunków, konfiskat i innych form terroru.

Po wybuchu wojny, już w pierwszych dniach, na skutek uderzenia niemieckiego z zachodu formacje niemieckie zbliżyły się do Bydgoszczy, a miejscowi volksdeutsche napałdli na tyły wycofującego się garnizonu, zastrzelili wielu żołnierzy polskich, sterroryzowali ludność i objęli władzę. Tymczasem następnego dnia nocą cofająca się z północy Pomorza armia polska wkroczyła do miasta i przywróciła go w polskie posiadanie. Z bronią w ręku schwymano wówczas kilkudziesięciu miejscowych Niemców i postawiono ich przed sądem polowym. 18 z nich, po udowodnieniu im zbrodni strzelania do żołnierzy polskich, zostało skazanych na kary śmierci, inni zostali zwolnieni, a wojskowych z Wehrmachtu wzięto do niewoli. I to miała być ta „krwawa niedziela“. Niemcy ponownie dotarli do miasta dopiero nocą na 8 września. I wtedy zaczął się terror.

W meldunku z 9.IX., hitlerowski komendant strefy 580, gen. Bremer, pierwszy hitlerowski komendant Bydgoszczy, podaje w raporcie, że z „8 na 9.IX. zastrzelono 200—300 Polaków cywilów“, co „zameldowała komendantura miasta“, a „komisaryczny nadburmistrz Kamppe szacuje nawet tę liczbę na 400 osób“. Aresztowano ponadto 500 osób, a do dnia 10.IX. „liczba ta wzrosła do 1500 osób“.

Dziennik raportów gen. Bremera zachował się za cały okres jego urzędowania w Bydgoszczy, tj. do 11.IX. włącznie, i został odszukany po wojnie przez Polską Misję do Spraw Przepęstw Wojennych w Lubece. M.in. czytamy w nim:

„w nocy z 9 na 10.IX. zastrzelono 120 Polaków, 900 aresztowań (nędzny motloch)“. „Rozkazuję na rynku rozstrzelać 20 zakładników. Zgodnie z zarządzeniem wykonano to 9.IX. Następnego dnia, ponownie kazalem rozstrzelać 20 zakładników...“ „Nocą 10.IX. akcja oczyszczająca daje nocą w północno-zachodniej części Bydgoszczy 120 aresztowań. Wzięto też 25 jeńców (żołnierzy polskich), z tego 8 padło. Jeden oficer, jeden podchorąży i jeden szeregowiec na wpół w ubraniu cywilnym, na wpół w mundurze zostają rozstrzelani...“ „Wezwano volksdeutscherów do składania doniesień o zajściach w niedziele mordów...“ „Pierwsze skazujące orzeczenia sądu specjalnego: trzy wyroki śmierci.“ „Do czasu mojej obecności w Bydgoszczy ilość rozstrzelanych wynosi 370“.

To wszystko wyjątki z raportów jednego tylko z morderczych dowódców i jedynie za kilka pierwszych dni. Z następnymi dniami są już w ogłoszonych dokumentach tajne raporty SS, różnych policji i gestapo. Codziennie trwają w tym czasie w mieście publiczne egzekucje, morderstwa skrytobójcze, aresztowania.

Do połowy miesiąca aresztowano jeszcze 2 tysiące Polaków, do 3.X.1939, czyli w ciągu dalszych dwóch tygodni, „wywieziono 3 tysiące na roboty przymusowe do Rzeszy“, „księżom w kościołach doręczono nową modlitwę za Führera“, a raport z 21.X. podaje, że „z Bydgoszczy wysłano pierwszy pociąg z transportem wysiedlonych z miasta Polaków do Krakowa“ oraz że „utworzona w Bydgoszczy niemiecka izba handlowa zamknęła wiele polskich przedsiębiorstw i zamierza unieruchomić w niedługim czasie wszystkie polskie zakłady rzemieślnicze“, przy czym sprawozdawca dodaje, że trzeba będzie jakoś tę lukę wypełnić, gdyż „niemieccy rzemieślnicy stanowią tylko ok. 10 procent całego stanu rzemieślniczego na oswobodzonych ziemiach“.

Tak było w Bydgoszczy i na Pomorzu. W innych miejscowościach Polski nie było lepiej. Straszny terror trwał na ziemiach polskich do stycznia 1945 r. Ale różni Muellerzy, ziomkostwa, wiele zachodniemieckich czasopism itd. próbują to podważyć. Oskarżają Polaków. Z 9 milionów członków partii hitlerowskiej NSDAP — 7 milionów przeżyło wojnę, znaczna ich większość działa jeszcze. Jedni z ukrycia, inni jawnie.

Do 10 maja trwa nasz WIELKI KONKURS pt. „NAJMILSZY PODAREK“

Każdy prenumerator „Tygodnika Polskiego“, jeśli zwerbując nowego abonenta i prześle mandat z roczną prenumeratą pisma (17 F we Francji, 210 fr. belg. w Belgii) pod adresem redakcji, bierze udział w losowaniu wielu cennych nagród



Monsieur Gaston LEFAURE, d'Athis-Mons en Seine-et-Oise est venu jusque dans nos bureaux pour nous prier d'insérer dans nos colonnes les impressions de son voyage en Pologne. Ce voyage, il l'a fait sur l'instigation d'un de ses amis français d'origine polonaise qui se proposait d'aller rendre visite à sa famille en Pologne.

Français de pure souche, Monsieur Gaston LEFAURE s'est senti en Pologne comme chez lui, il s'y est fait de nombreux amis. C'est pour eux et pour leur pays qu'il admire tant qu'il a voulu donner dans ces lignes le témoignage de sa reconnaissance pour l'accueil qui lui a été réservé.



„Il nous fallut deux jours pour visiter les musées, Wawel (ci-dessus la Chapelle Sigismund du célèbre château royal de Cracovie), la vieille ville, les églises, Nowa Huta...”



„Nous poussons une pointe jusqu'à Nowy Targ dans l'espoir de joindre Zakopane...” Voici les sommets de Tatra que la neige n'a pas permis aux voyageurs de contempler

Ma visite en Pologne

MON AMI GUY, d'origine polonaise, m'a demandé de bien vouloir l'accompagner au cours du voyage qu'il se proposait de faire au pays natal. J'ai volontiers accepté. C'est ainsi que la 404 mettait le cap vers la Pologne.

Nous couchons à Kassel en Allemagne Fédérale pour repartir le lendemain de bon matin à destination de Wrocław où nous arrivons à 13h. Nous cherchons sans succès la rue „Monte Cassino” où demeure un cousin de mon ami. Nous tournons en rond, et, un peu désorientés, nous commettons une infraction. Un milicien nous rejoint avec sa moto puis nous invite à stationner sur le bord du trottoir. Zut! pensons nous, cela commence bien mal. Pas du tout. Le policier a le sourire, ce n'était donc pas bien grave. Devinez la suite! Ce même milicien se propose de nous accompagner! C'est donc précédés d'un motard de la police polonaise que nous faisons notre entrée dans cette rue introuvable. Nous le remercions, puis prenons congé, après avoir bavardé ensemble un bon quart d'heure.

Nous causons une grande surprise, notre arrivée n'étant pas annoncée? Mon ami me traduisait l'essentiel de la conversation, car je ne comprenais rien ou pas grand chose. J'ai été reçu dans cette famille comme un des leurs et le „Francuz” retrouvait une ambiance bien de chez nous.

Le lendemain, visite de Wrocław, ville qui fait montre d'une grande activité. Les nombreux magasins d'alimentation sont bien approvisionnés et on trouve de tout. La reconstruction est très avancée. On peut voir de nombreux HLM modernes, de larges ave-

nues entièrement reconstruites, partout des chantiers. Certains quartiers laissent encore apparaître les traces des durs combats qui s'y déroulèrent.

Nous rallions ensuite Cracovie et descendons à l'hôtel „Francuski”. Il nous fallut deux jours pour visiter les musées, Wawel, la Vieille Ville, les églises qui abritent tant de trésors, ainsi que le complexe sidérurgique de Nowa Huta, remarquable réalisation qui fait honneur à l'industrie polonaise. Nous poussons une pointe jusqu'à Nowy Targ dans l'espoir de joindre Zakopane. Mais la route très enneigée, de plus en plus glissante, nous oblige à faire demi-tour.

Et voici le départ pour Markowa, non loin de la frontière russe, un grand village étalé sur plusieurs kilomètres, où demeure une grande partie de la famille de mon ami. Je précise que le but du voyage était pour lui de revoir les siens qu'il avait à peine connus et de faire connaissance avec les nouveaux venus. Au bout d'une journée, Markowa nous avait adoptés. Impossible de faire un pas sur la route. Nous étions tiraillés à droite, à gauche, vexant certains si on ne leur accordait pas les mêmes faveurs qu'aux autres. C'était le facteur avec qui on a fait des tours pendables au bon temps de l'école primaire; c'était le voisin d'en face, devenu maçon, et dont la courageuse compagne lui permet, en même temps, l'exploitation d'une petite ferme. La bouteille de wodka se vidait trop vite au milieu de ces bons et mauvais souvenirs d'enfance. Oui, à l'époque, on allait souvent pieds nus. Les temps ont bien changé depuis.

Un charmant magistrat, Monsieur le Maire de Markowa. Il nous invite chez

lui le dimanche, puis accompagné de son épouse nous fait le plaisir de nous tenir compagnie au cours d'une excursion dans la région avoisinante.

AVEC REGRETS nous quittons ces lieux si hospitaliers pour notre dernière grande étape, Varsovie. Après un repos bien mérité, nous entreprenons la visite de la capitale, guidés par un ami commun de l'ambassade de France. C'est une grande ville ultra moderne avec de larges avenues, des immeubles flamboyants neufs ou le Palais de la Culture à particulièrement retenu notre attention. Stare Miasto, ses rues étroites, ses églises, ses boutiques bien particulières a été reconstitué avec un soin extrême. Une

belle réalisation aussi, ce fameux stade de 100.000 places.

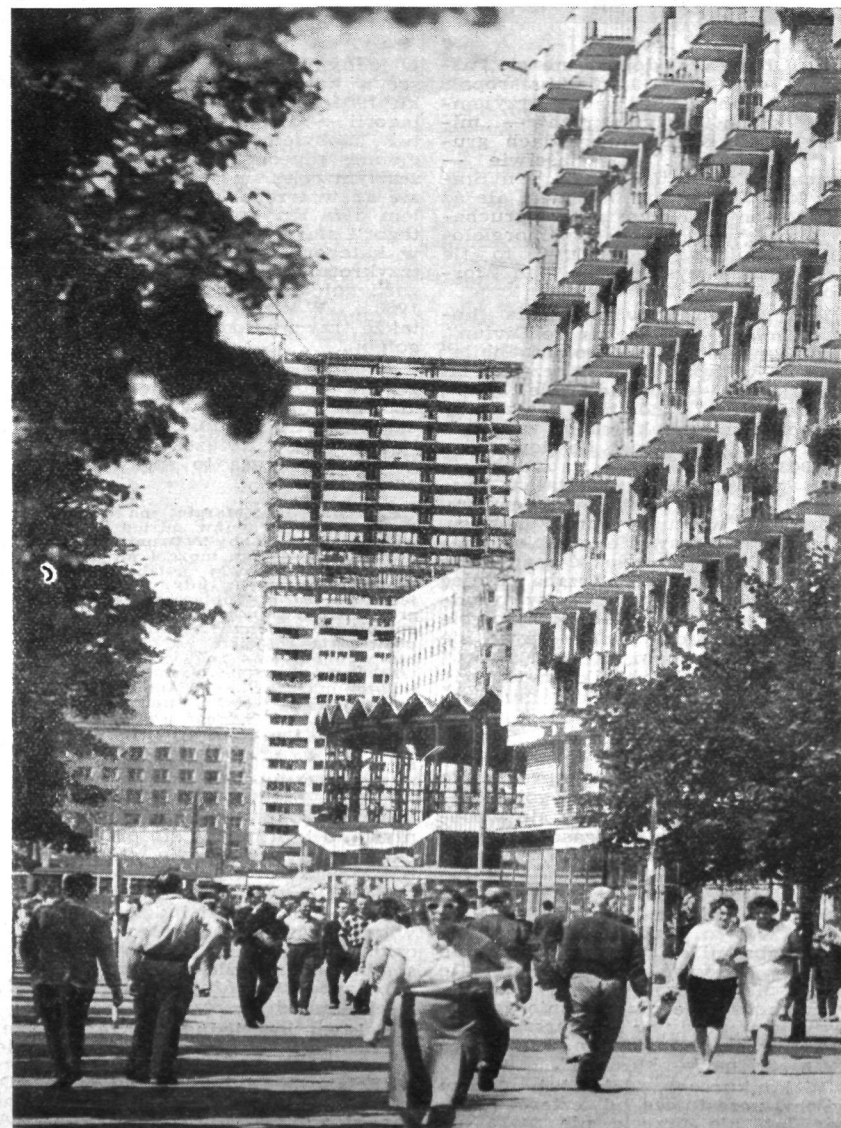
Nous prenons congé de Varsovie et amorçons notre retour au bercail en passant par Sieradz. Là nous retrouvons des amis polonais que j'avais eu le plaisir de rencontrer au cours de leur voyage en France. Toujours cet accueil chaleureux. Les amis des amis sont là! Le lendemain nous emmenons tout le monde à Łódź, traversé la veille. Un copieux repas bien arrosé clôture cette belle journée.

Le jour maudit s'est levé. Après le poste frontière de Siubice, nous jetons un dernier regard vers cet horizon si hospitalier laissant derrière nous une grande dette de reconnaissance. Nous n'avons pas dit Adieu, mais au revoir à ce charmant pays où sont restés tant d'amis.

Je terminerai en signalant que j'ai été très agréablement surpris par les nombreuses émissions de la Radio et de la Télévision consacrées à l'enseignement du français.

Gaston LEFAURE
ATHIS MONS
(Seine-et-Oise)

„C'est une grande ville ultra-moderne avec de larges avenues, des immeubles flamboyants neufs...” Le carrefour de la rue Marszałkowska et des Aleje Jerolimskie (notre photo ci-dessous) est considéré comme le centre de Varsovie



ELLE et LUI

DOUAI (na wprost dworca) Tél. 88-60-04

Zawiadamy Szanownych KLIENTÓW
że posiadamy na składzie bogaty wybór odzieży
DAMSKIEJ, MĘSKIEJ i DZIECIĘCEJ

● NAJNOWSZE MODELE!

● NAJMODNIEJSZE KOLORY!

● CENY PRZYSTĘPNE

Posiadamy na składzie gwarantowane i pierwszej jakości:

PLÓTNO NA WSYPY ● PUCH I PIERZE ● BIELIZNĘ POŚCIELOWĄ

5% zniżki dla licznych rodzin i pensjonowanych

GOŁĘBIARZE



„Miód wzmacnia siłę lotu”



„Hodować gołębie to nie takie proste, to sztuka. Trzeba przede wszystkim umieć gołębie kochać” — mówi „pan na czterech gołębnikach”, Stanisław Morgiel

DIVION, w departamencie Pas-de-Calais. Jak w staropolskich „Zabawach przyjemnych i pożytecznych” — „miałem gołębi huczy dach gruchaniem”. A właściwie — nie dach, tylko — dachy. Bo pan Stanisław MORGIEL ma nie jeden, ale aż cztery gołębniki. Miłym gołębi gruchaniem huczą więc dachy panamorgielowych gołębników, i na tym to tle dźwiękowym wszystko nam pan Morgiel od początku tłumaczy.

— Do naszego stowarzyszenia hodowców gołębi — „L'Eclair de Divion”, tak się ta nasza „société colombophile” nazywa — wstąpiłem w początku lat pięćdziesiątych — powiada. Ale „grać”, jak to my tutaj mówimy, to znaczy uczestniczyć w konkursach zacząłem całkiem niedawno temu, bo dopiero w roku 1963. Do konkursów zabrałem się dopiero wtedy, kiedy przestałem pracować w kopalni i zostałem emerytem. Bo konkursy wymagają pracy i czasu. Żeby mieć mistrzowskie gołębie, trzeba w ich hodowlę włożyć naprawdę dużo serca. O gołębie trzeba umieć dbać. Co najmniej trzy razy w tygodniu trzeba czyścić gołębnik. Gołębie trzeba także umieć żywić — żywi się je oczywiście grochem, pszenicą, kukurydzą, ale również i bobikiem (drobny bób), ale także i siemieniem lnu, rzepakiem, trawą... A i miodem także. Miód bowiem wzmacnia siłę lotu gołębia. O, hodować gołębie pocztowe — to wcale nie jest taka prosta sprawa. Po co więc zajmuję się hodowlą gołębi? — Rzecz jasna, nie po to, żeby się wzbogacić. Bo przecież to, co czasem wygram w lotach konkursowych, to są — w porównaniu z tym, co wydają na gołębie — grosze.

— Hoduję gołębie, bo lubię gołębie, znajdują w tym upodobanie, przyjemność, podoba mi się to, no i już. Lubię nie tylko hodować gołębie, lubię je także — pielęgnować. Dumny jestem, kiedy wyholowane przeze mnie gołębie zdobywają nagrody w konkursach albo na wystawach. Nie jestem z tych, co „zęby zjedli na konkursach”.

— W konkursach, jak już panom mówiłem, uczestniczę od czterech zaledwie lat, ale przecież nie mam się czego wstydić: w roku 1963 zdobyłem

w jednym z konkursów pierwsze miejsce w kategorii młodych gołębi, w roku 1964 zdobyłem — w tej samej kategorii — drugie miejsce, w roku 1965 też zdobyłem w tej samej kategorii „jeunes pigeons” drugie miejsce, a w zeszłym roku moje gołębie wyróżniły się aż w trzech kategoriach — zdobyłem dwa razy pierwsze miejsce w kategorii starych gołębi, pierwsze miejsce w kategorii gołębi jednorocznych i aż trzykrotnie pierwsze miejsce w kategorii gołębi najmłodszych, tych z roku 1966... W zeszłym roku zdobyłem także trzy nagrody na naszej wystawie gołębi...

— Może wam się to wydaje dziwne, że tak doskonale pamiętam wszystkie kolejne konkursy, wystawy, kategorie, nagrody. Ale ja muszę o tym pamiętać, to jest mój obowiązek. Dla prawdziwego gołębiarza są to sprawy naprawdę ogromnej wagi...

Pan Stanisław Morgiel ma dwóch synów. Jeden tylko z synów odziedziczył po ojcu gołębiarskie „hobby”. Drugi — młodszy — powiada, że — no, może i on także zajmowałby się hodowlą gołębi pocztowych i konkursami, ale... gdyby nie fakt, że jemu się to nie opłaca. Wiadomo, że nagrody zdobywają ci, którzy mają najlepsze gołębie. A najlepsze gołębie mają ci, którzy poświęcają gołębim najwięcej czasu. Aby zaś w ogóle móc poświęcać gołębim czas, trzeba mieć czasem dysponować. A kto w kolonii ma czas? — Wiadomo, tacy jak ojciec emeryci. No, bo młody człowiek musi i pracować, i wyspać się, i dla kolegów mieć czas, i o ożenku musi, jakby nie było, myśleć... W stowarzyszeniu hodowców gołębi emeryci są zawsze górą. Nie ma na to rady. Toteż on do nich nie należy...

Ze nie wszyscy młodzi ludzie tak myślą, o tym można się przekonać chociażby na przykładzie starszego syna p. Morgiela. On do stowarzyszenia „L'Eclair de Divion” należy. Należą doń także i inni młodzi ludzie — p. Cieślęwicz, p. Zygmunt Skalecki (który jest członkiem „L'Eclair de Divion” od dzieciństwa już lat, właścicielem 30 gołębi i zdobywcą 30 różnych nagród, należy wielu innych jeszcze.

Faktem jest jednak także i to, że w porównaniu z okresem międzywojennym ludzi młodych jest dzisiaj w „L'Eclair de Divion” raczej mało. „Dziś cały świat jest inny” — powiada prezes stowarzyszenia, p. Arthur MASSON, który hodowlą gołębi zajmuje się

już ponad 40 lat, bo od roku 1923. Ten nestor gołębiarstwa w Divion opowiedział nam o wszystkich sprawach gołębiarskiego świata z istic naukową powagą i precyzją. Posłuchajcie:

— Morgiel to setny chłop i świetny gołębiarz, ale on nie może o wszystkim wiedzieć, bo to jeszcze młodzi i debiutanci. Najpierw należy powiedzieć o tym, że hodowla gołębi pocztowych nigdzie we Francji nie jest tak rozwinięta jak właśnie na Nordzie. Gołąb jest ulubieńcem górników, zarówno francuskich, jak i polskich.

W naszym stowarzyszeniu mamy kilkunastu Polaków. To świetni, tacy jak Morgiel, jak Skalecki, jak Pawlaczyk, gołębiarze. Hodowla gołębi pocztowych zaczęło się tutaj u nas zajmować już w pierwszych latach drugiej połowy zeszłego stulecia, pierwsze gołębniki pojawiły się w zagłębiu górniczym w roku 1857. „Coulonneux” — tak się w „patois” górniczego Nordu nazywa hodowców gołębi pocztowych — zawsze było u nas dużo, wielkie triumfy organizacyjne święciliśmy zwłaszcza w okresie międzywojennym.

— I dziś jeszcze jest nas sporo — w samym naszym „L'Eclair de Divion” jest nas 58, a nasze zrzeszenie, tzn. organizacja, w skład której prócz naszego „L'Eclair” wchodzi także stowarzyszenia hodowców gołębi z sąsiedniego Houdain, liczy sobie około 200 członków. Ale teraz często zdarza się, że przychodzi do mnie któryś z młodszych hodowców i: — „Wicie, jak lubię gołębie — mówi. — Ale co mam robić? Zna ciągle urządza mi awantury o to, że zamiast jeździć z nią nad morze, ja każdą prawie niedzielę poświęcam gołębim... Wicie, jak to jest z kobietą... Będę musiał wszystkiego zaprzestać... Żeby to jeszcze konkursy odbywały się zimą albo jesienią...”

Oczywiście konkursy odbywają się wtedy, kiedy jest na świecie naprawdę ładnie.

— Konkursy zaczynamy organizować pod koniec marca — wyjaśnia nam p. Masson. — Kończy się zaś sezon konkursowy w połowie sierpnia. Miesiącem najbardziej intensywnej pracy jest dla nas zawsze czerwiec. A w trakcie miesięcy jesiennych i zimowych praca nasza polega po prostu na pielęgnowaniu naszych skrzydlatych pupilów. Zimą każde stowarzyszenie urządza też wystawę gołębi. Jeśli idzie o „L'Eclair de Divion”, to nasza doroczna wystawa odbywa się zawsze w grudniu. — No i urządza się także możliwie duży i huczny bal — bo samą miłością gołębi nawet i najlepsze stowarzyszenie żyć nie może...

Miłym gołębi huczą dachy gruchotaniem...

— Dobry gołębiarz musi mieć wyrobiony, niezwykle czuły i subtelny dotyk — powiada p. Morgiel. — Żeby w ogóle móc zostać hodowcą gołębi pocztowych, trzeba być posiadaczem „casier judiciaire vierge”, to znaczy: nie może zostać gołębiarzem ktoś, kto był sądowo karany. Dlaczego? Dlaczego każdy gołąb musi być zarejestrowany? No bo przecież każdy gołębiarz jest niejako posiadaczem „stacji radiowej”. Czy wicie, że obłądony przez Prusaków w 1870 roku Paryż mógł się porozumieć z resztą Francji jedynie drogą powietrzną — poczta gołębią? — powiada p. Masson.

My zaś dopowiemy jeszcze od siebie: żeby być gołębiarzem, trzeba także — trzeba przede wszystkim — umieć kochać gołębie tak jak oni, jak ci górnicy o tak twardej, tak spracowanych, a przecież tak czułych dłoniach.

Stanisław KOCIK

Stanisław Morgiel przed jednym ze swych licznych dyplomów gołębiarskich





O gołębiach i ich hodowli można mówić nieskończenie... twierdzi prezes „L'Eclair de Divion” p. Arthur Masson

STANISLAW MORGIEL est membre de la société colombophile „L'Eclair de Divion” depuis une bonne quinzaine d'années déjà, mais ce n'est que depuis 1963 qu'il participe aux concours organisés par cette société. „J'attendais d'être pensionné — dit-il. — C'est que les concours demandent du temps et du travail. Pour avoir de bons pigeons, des pigeons capables de gagner, d'obtenir des prix, il faut vraiment y mettre du sien. Savez-vous qu'un pigeonier doit être nettoyé trois fois par semaine? Elever des pigeons n'est pas tellement simple que ça. Il faut savoir les soigner, les nourrir — contrairement à ce qu'on s'imagine, ce problème de la nourriture nécessite lui aussi un certain savoir et beaucoup d'attention — et puis, bien sur, il faut savoir les aimer. Pourquoi est-ce que j'éleve des pigeons? — Pas pour m'enrichir, pour sur. Naturellement, j'ai déjà obtenu de nombreux prix, mais ce n'est pas avec ça que je vais m'enrichir... Mes pigeons me contentent plus qu'ils ne me rap-

portent. J'éleve des pigeons parce que j'aime les pigeons. Je joue, je participe aux concours parce que j'aime ça, un point, c'est tout”.

Stanisław Morgiel a quatre pigeoniers. C'est un véritable „fan” de la colombophilie — comme d'ailleurs M. Arthur Masson, président et vétérinaire de „L'Eclair de Divion”, comme d'ailleurs tant d'autres mineurs et anciens mineurs de Divion et de la région minière en général. „Le pigeon est l'ami du mineur — dit M. Masson. — Cette amitié ne date pas d'hier: les premières sociétés colombophiles ont été créées dans le Nord vers 1857. Aujourd'hui, presque chaque cité a son groupe de „coulonneux”. Pour ce qui est de notre société, elle compte 58 membres. Bien sur, il y a chez nous des „coulonneux” Polonais ou d'origine polonaise: Morgiel, Morgiel fils, Skalecki, Cieśliewicz, Pawlaczyk, Lamanzewski... Ce sont d'excellents colombophiles”.

MM. Morgiel, Masson et Skalecki nous ont longuement et pittoresque-

ment dépeint leurs activités de colombophiles et la vie de leur société. „Un colombophile doit surtout avoir beaucoup de toucher” — nous a dit M. Morgiel. „Pour pouvoir être membre d'une société colombophile, il faut avoir un casier judiciaire vierge — nous a appris M. Masson. — C'est que chaque colombophile est en quelque sorte propriétaire d'une „station de radio”. Savez-vous que lors de la guerre franco-allemande de 1870-71 Paris n'a pu communiquer avec le reste du pays que grâce aux pigeons-voyageurs?”

Quant à la société, son activité consiste essentiellement à organiser des concours. La saison des concours commence vers la fin mars et s'achève à la mi-août. Durant l'hiver, il est de tradition d'organiser une exposition et un bal.

Voilà. En un mot, même si les jeunes n'en sont plus aussi enthousiastes, aussi entichés que durant l'entre-deux-guerres, au pays noir de Cafougnette les pigeons roucoulent toujours, et la colombophilie s'y porte bien.

To pamiątkowe zdjęcie zostało wykonane podczas jednej z uroczystości wręczenia nagród najlepszym gołębiarzom. Wśród stojących — pp. Morgiel ojciec (pierwszy z prawej strony), Morgiel syn (drugi z prawej), Skalecki (siódmy z prawej); wśród siedzących — pp. Cieśliewicz (pierwszy z lewej) i prezes Masson (siedzi w środku, za stołem)



W RAMACH JUMELAGE OŚRODKÓW GÓRNICZYCH

W Saint Vallier (Saône-et-Loire), miście związanym braterskim jumelage z polskim Rybnikiem, przebywała ostatnio delegacja tego miasta z przewodniczącym Miejskiej Rady Narodowej panem Pawłem Ziętkiem oraz przewodniczącym komitetu Fruntu Jedności Narodu p. Alojzym Wachtarczykiem. Jest to kolejna wizyta przedstawicieli górniczego miasta polskiego w zaprzyjaźnionym St. Vallier.

Delegacja przybyła na zaproszenie Conseil Municipal St. Vallier i omawiała sprawę tegorocznej wakacyjnej wymiany dzieci obu miast, która ma nastąpić w okresie od 30 lipca do 21 sierpnia.

Podczas pobytu w St. Vallier goście z Rybnika zwiedzili nową szkołę w dzielnicy Goujons, szpital Jean Bouveri oraz odbyli wycieczkę po terenie zągłębia.

W czasie wizyty delegacji odbył się w St. Vallier publiczny seans trzech filmów krótkometrażowych na temat pobytu dzieci francuskich w Rybniku, film o samym mieście Rybniku, liczącym obecnie 750 lat oraz o ostatnim dwudziestoleciu tego ośrodka i jego rozwoju w Polsce Ludowej.

Rady miejskie St. Vallier i Rybnika stwierdziły z satysfakcją, że współpraca obu miast rozwija się bardzo pomyślnie. Delegacja związków zawodowych, wymiana ekip sportowych oraz stowarzyszeń kulturalnych składają się na poważny dorobek ostatnich lat.

Nagrody Loterii 1000-lecia w Limburgii czekają na odbiorców

Okręgowa Rada Narodowa Polaków w Limburgii podaje numery wygranych w Loterii Fantowej zorganizowanej w ramach obchodów Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Oto one:

1475 — 20353 — 22206 — 22435 — 20341 — 16236 — 18959 — 16982 — 16374 — 16686 — 19905 — 17527 — 22217 — 25372 — 17538 — 24133 — 16612 — 29743 — 22973 — 16754 — 26275 — 26132 — 23066 — 26753 — 23392 — 28984 — 28841 — 23199 — 19302 — 22936.

Nagrody są do odebrania w Café Métro, u p. Pawlaka, Hoevenzavel 67, Waterschei, telefon 011.53637, w terminie do dnia 15 kwietnia 1967 r.

Losowanie wygranych odbyło się w obecności p. burmistrza gminy Koersel, który przybył wraz ze swym zastępcą i sekretarzem. Po zakończonym losowaniu p. burmistrz przemówił w gorących słowach do zebranej publiczności stwierdzając, że Belgowie cenią pracę kulturalną Rady Narodowej, która jest zastągą wspólnego wysiłku Polaków i Belgów.

Na zabawie, podczas której odbyło się losowanie, obecnych było około 500 osób. Zabawa przeciągnęła się do późnej nocy. Potogę dochodu z imprezy przeznaczyła Rada Narodowa na rzecz Komitetu Rodzicielskiego w Beringen.

*

Jednocześnie Okręgowa Rada Narodowa w Limburgii dziękuje za pełną poświęcenia pracę i pomoc w sprzedaży losów zarządowi Przyjaźni Polsko-Belgijskiej w Willebroek, pp. J. Szala, Bohdanowiczowi, paniom Pawlak i Polak, zarządowi Komitetu Rodzicielskiego w Beringen, członkom ZPP Waterschei, p. Edmundowi Paclakowi i wszystkim sprzedawcom.

Spotkanie polskich poetów z tłumaczami ich twórczości

W Paryżu odbyło się spotkanie kilku poetów polskich z ich francuskimi, angielskimi i niemieckimi tłumaczami. Spotkanie to zorganizowali wydawcy francuskiej, angielskiej i niemieckiej antologii poezji polskiej: wydawnictwo „Le Seuil” (Paryż), wydawnictwo Doubleday (Nowy Jork) i wydawnictwo Hanser Verlag (Monachium).

W trakcie spotkania wygłoszono szereg interesujących referatów. O polskiej poezji współczesnej i o jej związkach z poezją francuską, angielską, niemiecką, radziecką itd. mówili kolejno Zbigniew Biękowski, Zbigniew Herbert, Julian Przyboś, Jarosław Iwaszkiewicz i Adam Ważyk. Ze strony francuskiej w spotkaniu tym uczestniczył m.in. znany poeta Pierre Emmanuel.

sk.

Tygodniowa GAWĘDA

- ◆ Dobre rady Dziekana Rohatyńskiego
- ◆ Winne sekrety sprzed 200 lat
- ◆ Czy wiecie, jak przedłużyć żywot?

JAK TEN CZAS LECI! Zdawałoby się, dopiero co składałem Wam, mili, wigilijne i noworoczne życzenia, a tu Wielkanoc za pasem. W Warszawie sprzedają już pisanki, pięknie wymalowane, poczta skarży się na nawał paczek żywnościowych z „prawdziwie wiejską kiebasą”, taką, jakiej w mieście nie dostaniecie, a panowie przygotowują zapasy „trunkowe”, by powetować sobie post.

A jak to drzewiej bywało? Nakładem Wydawnictwa Literackiego ukazała się w Polsce książka Benedykta Chmielowskiego: „Nowe Ateny”. Kto zacytuje Chmielowski? „Książd Benedykt Chmielowski, Dziekan Rohatyński, Firleyowski y Podkamieniecki Pasterz” żył w wieku XVIII i wówczas wydał kilkutomową książkę, owe „Nowe Ateny” których dalszy ciąg tytułu brzmi:

„Akademia wszelkiej Scyencji pełna, na różne tytuły jak na Classes podzielona: mądrym dla memoryału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki, melancholikom dla rozrywki erygowana.”

Przedziwna to księga, w której o wszystkim po trochu. Mieszają się tu rozważania teologiczne z przepisami na potrawy, mądrości życiowe z historiami o upiorach i czarnoksiężstwie, wiedza przyrodnicza z „sekretnymi osobliwymi”.

Obecne wydanie Chmielowskiego dało asumpt do literackiego sporu: czy Chmielowski to wszystko pisał na serio czy też zwyczajnie kpil? Gdyby przyjąć, że pisał na serio, należałoby badać nad niskim poziomem wiedzy Dziekana Rohatyńskiego, a jeśli kpil — trzeba go podziwiać, jak znakomicie potrafił wymanewrować ówczesną cenzurę (kościelną), tworząc znakomitą groteskę. Mnie wydaje się, że Chmielowski był znakomitym kpiarzem, a zresztą osądźcie sami.

WYBRAŁEM WAM trochę zabawnych, trochę mądrych fragmentów z „Nowych Aten” (ale nie z obecnego wyboru, tylko z wydania z 1754 roku, które mam w swojej bibliotece). „Wielkanocny” to cocktail, z trunków sprzed dwustu lat sporządzony.

Jeśli tak, trzeba zacząć ab ovo — od jajka. Oto rada księdza Chmielowskiego, „jak jaje przez klucz przeprowadzić?”

„Włóż jaje kurze w ocet winny, bardzo mocny, tedy na nim skorupę jaje szczeru stawi ocet, a tak któredy zechcesz, nie tylko przez ucho klucza go przepędzisz. Toż samo jaje chcąc go skorupą przyodziać, smaruj go pędzikiem umoczone w masie zrobionej z skorup utłuczonych.”

Nie wierzyć — „spróbujcie”!!

Sporo uwagi poświęca książd Chmielowski różnym napojom, zwłaszcza winu, którego wydaje się przednim znawcą. Z świątecznej okazji warto może i te jego uwagi zacytować. Przede wszystkim — jakie powinno być wino?

„W winie trzy litery obserwują, C.O.S. to jest, aby było klarum, Odoratum, Sapidum, Klarowne, Wonne, Gustowne.”

Czy Wasze wino odpowiada tym wymogom? A chcecie może wiedzieć, czy Wasze wino posiada odpowiednią moc? Oto, co zaleca czynić Dziekan Rohatyński:

„Wypłucz sobie mocno gębę, ze trzy kawałki chleba umocz w wodzie, zjedz, dopiero kosztuj wina, tak tęgości i smaku jego docieciesz.”

A warto pić dobre wino, albowiem:

„wino człowiekowi jest pomocą; bo mu żywność i posilenie przynosi, pomiarkowanie zżywane, gdyż się w krew przemienia cięsta, w której zawista trwałość zdrowia.”

Oczywiście, pić trzeba z umiarem. Co zrobić, aby się nie upić? Pierwsza zasada jest prosta:

„Zeby się kto nie upił, aż do stracenia reflexy, pierwszy sekret moderacya w napoju.”

Dobry dowcip! To wiemy i bez dziekańskiej mądrości. Ale co wtedy, kiedy „moderacya” czyli wstrzemięźliwość zawodzi? Jest i drugi sposób:

„Drugi ten, niech kozie płuca zje upieczone, pianstwa w głowie nie poczuję, choćby był nie wiem w jak lubiącej kompanii, y był na pojedynkę wzywany kuflowy.”

Znany i w Ludowej Polsce jest ten sekret, tyle, że inaczej się nazywa. Kiedyś z oburzeniem piętnowano nadużywającego alkoholu drukarza. Zapytany wprost, co robi, gdy wypije kieliszek wódki, krytykowany odpowiedział po prostu:

„Zakąszam!”

Być może kozie płucaka są dobrą zakąską, nie próbowałem. Ale książd Chmielowski zna i metodę odwykową dla niepoprawnych alkoholików, obrzydającą alkohol raz na zawsze. Postępujcie, co zrobić z alkoholikiem:

„Napić tylko sokiem płynącym z winnych latorośli obciętych, albo węgorza albo żabę w wino wrzucić y tam je umoczyć: lub sówiami nakarmić jajami, taki sobie obrzydzi wino, powiadają.”

Dosyć o alkoholu. Może teraz coś dla pań. Wiadomo, że nasze dzisiejsze panie mają taki kolor włosów, jakiego nie mają: blondynki są brunetkami, brunetki są rude, wszystko, byle nie tak, jak Pan Bóg stworzył. Gdyby któraś z naszych pań chciała być na tyle oryginalna, by dla odmiany mieć zielone włosy, zalecam sposób księdza Chmielowskiego:

„Z kaparów świeżych wódkę destylować, a to często namazując, zielony włos będzie.”

A w ogóle Podkamieniecki Pasterz jest przyjacielem ludzi. Radby im przedłużyć życie. Jak? „Przedłużaia starym życia kawa, cykolata, rosul”. A co skraca życie?

„Serce smutne, gniew ustawny, myśl rzadko wesola Te troje żywot króca y grzebia do dola.”

Cóż? Słuchajmy głosu starego Polaka. Pijmy wino, jedzmy rosół i czekoladę, nie miejmy smutnego serca ni gniewu ustawnego!

Czego i Wam świątecznie życzy

MARIAN



Aby budować, kupić czy przeprowadzić naprawy, oszczędności Wasze przyniosą odsetki...



... premię równa ich wysokości oraz pożyczkę daleko wyższą od Waszych oszczędności

otwórzcie konto zwane "épargne-logement" zwolnione od podatków w

CRÉDIT DU NORD



AGENCE DE VOYAGES

GRALLA

OFICJALNY KORESPONDENT ORBIS-u

LICENCE 530

MEMBRE A. P. C. A. V.

Dyrekcja: 62 — LENS Face à la Gare Tel. 28 24 03 i 28 16 14

ODDZIAŁY:

BRUAY-en-ARTOIS

PARYŻ

METZ

Voyages GRALLA
35, rue Ch. Marlard
62 — BRUAY-en-ARTOIS
Tel. 432

Voyages GRALLA
48, rue Vivienne
75 — PARIS — 2°
Tel. 508-50-42

Voyages GRALLA
43-45, rue Serpennoise
57 — METZ
Tel. 68 24 01

JEDYNE BIURO PODRÓŻY we FRANCJI NA POCIĄGI SPECJALNE DO POLSKI

Terminy odjazdów pociągów specjalnych z LENS, DOUAI, VALENCIENNES i AULNOYE do POZNANIA: od maja wyjazdy co poniedziałek

6 lipca	Pociąg specjalny LENS — POZNAŃ	1 miesiąc 2 miesiące	powrót „	6 sierpnia 3 września
3 sierpnia	Pociąg specjalny LENS — POZNAŃ	1 miesiąc 2 miesiące	powrót „	3 września 28 września

Jadąc pociągiem specjalnym spędzasz tylko jedną noc w podróży. Wyjazd z LENS o godz. 11. Przyjazd do Poznania około godz. 12 na drugi dzień.
U w a g a: Na życzenie klientów pobyt może być skrócony.

Z okazji Międzynarodowego Roku Turystycznego Biuro Podróży GRALLA organizuje w 1967 r. REGULARNE TYGODNIOWE WYJAZDY ZBIOROWE w odwiedzinach do rodzin oraz SPECJALNE GRUPOWE WYCIECZKI TURYSTYCZNE po Polsce połączone ze zwiedzaniem najpiękniejszych miast i okolic.

Wyjazdy grupowe co poniedziałek z Lille do Poznania, Warszawy, Krakowa itp.

Co sobotę wyjazdy grupowe bez przesiadki z Paryża przez Metz do Wrocławia, Poznania, Krakowa i Warszawy.

Regularne wyjazdy grupowe z Metz do Wrocławia, Krakowa lub Warszawy.

Biuro Podróży GRALLA jako oficjalny i akredytowany przedstawiciel linii LOTNICZYCH, MORSKICH i KOLEJOWYCH

posiada i wystawia

● WSZELKIE BILETY SAMOLOTOWE, OKRĘTOWE I KOLEJOWE ZE ZNIŻKAMI URLOPOWYMI, RODZINNYMI I TURYSTYCZNYMI.

● BILETY KOLEJOWE DO WSZYSTKICH STACJI W POLSCE. Wystawianie na miejscu BONÓW ORBISU oraz BONÓW BENZYNOWYCH z 30% ZNIŻKĄ

● BIURO PODRÓŻY GRALLA załatwia wszelkie formalności paszportowe, wize pobytowe i tranzytowe itp.

● OD SZEREGU LAT WYSYŁAMY BEZ OPŁATY CŁA PACZKI PKO DO RODZIN ORAZ PRZEKAZY PIENIĘŻNE DO POLSKI:

Za 50.— F	otrzymuje krewny	720.— zł
za 100.— F	„	1440.— zł
za 200.— F	„	2880.— zł
za 400.— F	„	5760.— zł

i tak dalej.

● SPROWADZAMY KREWNYCH Z POLSKI DO FRANCJI NA WAKACJE.

● Załatwiamy wszelkie tłumaczenia oficjalne.



Wykuty w kamieniu orzeł polski, jakich wiele w Gdańsku, do dziś zdobi fasadę Ratusza. Prusacy zranili ten polski symbol (strzałka wskazuje bliznę), jednakże orzeł przetrwał wszystkie burze dziejowe

ZRANIONY ORZEŁ ZWYCIĘŻYŁ

GDAŃSK można by nazwać miastem białych orłów. Widnieją one niemal na każdym kroku: na fasadach starych budowli, resztkach zabytkowych bram w dawnych murach miejskich, w wiekowych świątyniach i kaplicach, na wieżach ratuszowych i kościelnych. Przetrwały m. in. na Bramach Straganiarskiej, Wyżynnej i Zielonej, na Dworze Artusa i w obu ratuszach: Staromiejskim i Prawomiejskim. Widnieją też symbol Polski na fasadzie Kaplicy Królewskiej przylegającej do olbrzymiej bryły Kościoła Mariackiego (największej świątyni w Polsce), wzniesionej z kiesy króla Jana III Sobieskiego, którego rodzinny herb „Janina” sąsiaduje tu z Białym Orłem.

Ratusz Staromiejski jest obecnie siedzibą Wojewódzkiego Domu Twórczości Ludowej. Nadaje się na to wyśmienicie. Jego wnętrze jest okazałe, uroczyste i ozdobne. W sieni parteru znajduje się płaskorzeźba ukazująca Jana Heweliusza, obywatela gdańskiego i rajcę Starego Miasta, znakomitego astronoma, który opodal — przy ul. Korzennej — miał własne obserwatorium, skąd podpatrywał tajemnice nieba. Tu właśnie odkrył nie znany przed nim gwiazdozbiór i nazwał go

Tarczą Sobieskiego, mianem do dzisiaj obowiązującym w światowej astronomii. Szerokie rzeźbione schody prowadzą na piętro. Klatka schodowa jest zarazem wspaniałym hallem. Ściany ozdobione są XVII-wiecznymi obrazami Alfreda Boye — przedstawiającymi postacie kobiece, symbolizujące Mądrość, Sumienie, Wiarę i Miłość.

Gmach Ratusza, wzniesiony w latach 1587—1595, jest dziełem Holendra Antoniego van Obbergena. Po drugiej wojnie światowej był to pierwszy zabytkowy gmach Gdańska, któremu — dzięki stosunkowo małym zniszczeniom — przywrócono pierwotny historyczny wygląd.

Orzeł polski na fasadzie Ratusza Staromiejskiego wykuty jest w twardej kamieniu. Gdy w XIX wieku pruskie władze miasta wprowadzały oświetlenie ulic, nie omieszkały zawiesić latarni właśnie na białym orle. W jego pierś wbito grubą, żelazną hak, raniąc dumne godło Polski.

Po wyzwoleniu hak odpiłowano, ale blizna pozostała widoczna do dziś. Ocalał z pożogi wojennej Ratusz Staromiejski. Na jego wieży w dniu 30 marca 1945 roku zawisła pierwsza po latach w Gdańsku polska flaga.

Zraniony orzeł zwyciężył!

GDAŃSK est une ville qui a beaucoup souffert pour être polonaise. Révoltée contre les chevaliers Teutoniques, elle faisait enfin retour à la mère patrie en 1466 pour connaître pendant plus de trois siècles un développement sans entraves. En 1793, elle tombait aux mains des Prussiens et au lendemain de la première guerre mondiale, ses espoirs devaient être déçus par la création de cette „Ville libre de Dantzig” qui fit couler tant d'encre et de sang.

Redevenue à jamais polonaise en 1945, son passé se lit dans la pierre. Gdańsk mérite en effet d'être appelée la ville des aigles blancs. On retrouve les armes de la Pologne, malgré tous les efforts accomplis par les Allemands pour les effacer, sur les trois Portes de l'ancienne enceinte fortifiée, sur les deux hôtels de ville, sur la chapelle royale fondée par Jean III Sobieski... Le nom de ce dernier est aussi perpétué dans le ciel, l'astronome Jean Hevelius, échevin de la vieille ville de Gdańsk ayant baptisé „Bouclier de Sobieski” — nom qui figure toujours dans les atlas sidéraux, une constellation découverte par lui.

Sur la façade de l'hôtel de ville de la vieille ville l'aigle blanc garde une blessure. Au 19-e siècle, les autorités prussiennes avaient fiché dans sa poitrine une barre de fer pour ...y accrocher une lanterne. A la libération, le 30 mars 1945, quand sur le beffroi flottait déjà l'étendard polonais, cette barre fut sciée, mais l'aigle garde sa glorieuse cicatrice, symbolisant aujourd'hui sa victoire.



Staromiejski Ratusz — dzieło holenderskiego architekta A. van Obbergena. Ma tu obecnie siedzibę (poniżej) Wojewódzki Dom Twórczości Ludowej



W najpiękniejszej sali Ratusza w soboty i niedziele odbywają się śluby



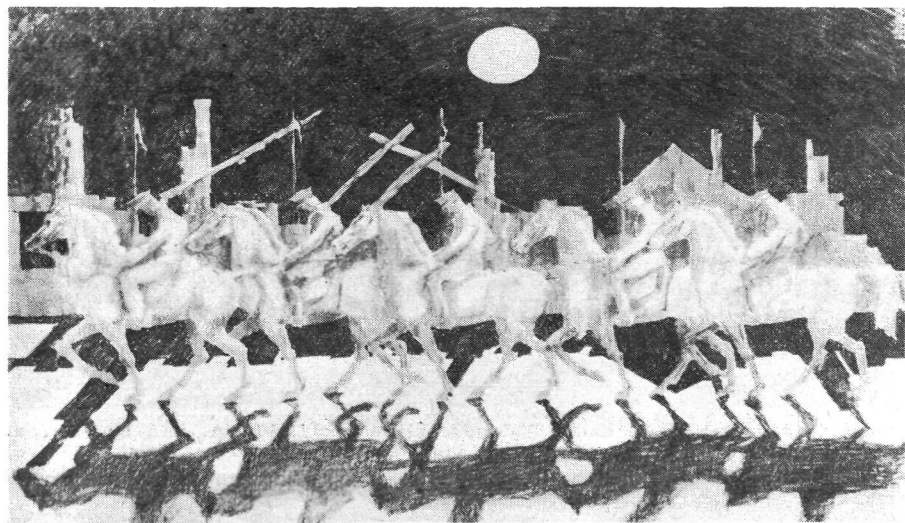
DZIEŁA RZEŹBIONE OGNIEM

O polskim artyście ze Szwajcarii

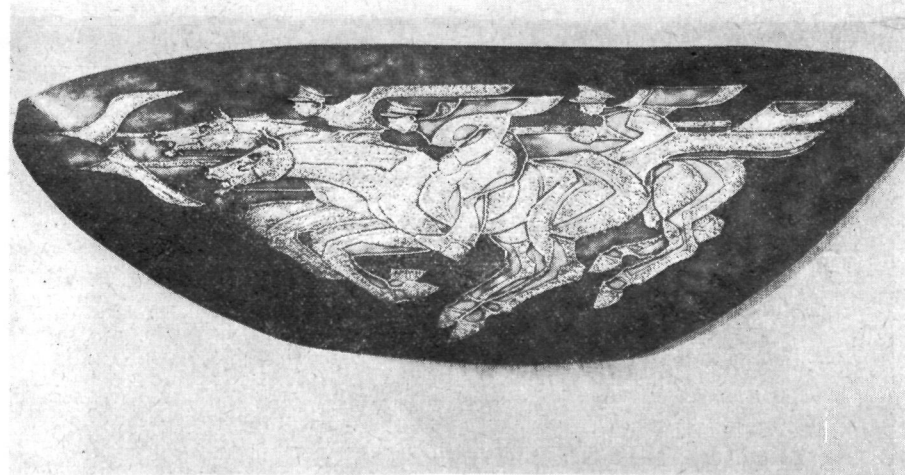
EN 1951, le Vatican faisait l'acquisition d'une „Annonciation”, bas-relief polychromé en bois, du au sculpteur Mathis Piotrowski de Winterthur en Suisse. Aujourd'hui Piotrowski connaît la célébrité et le monde a enfin appris qu'il était Polonais. Né à Cracovie, il participa à la campagne de 1939, puis à la campagne de France. Interné en Suisse, il y étudia la sculpture à la Faculté d'Architecture de Zurich. Plus tard il y enseigna lui même le dessin, tout en s'adonnant à la création artistique. Un silence prolongé fut dû à une commande importante. Les recherches de Piotrowski l'amenerent à choisir comme matériau l'aluminium. Or, ce-métal ne se soumettait pas à la volonté du sculpteur. Celui-ci mit donc un an à devenir soudeur diplômé du centre d'Alu-Suisse à Neuhausen. Aujourd'hui la flamme est devenue son burin. Déjà célèbre à l'étranger, il exposa pour la première fois 18 sculptures dans l'aluminium et plusieurs dizaines de dessins à Cracovie, sa ville natale, en 1964, puis à Varsovie. Dernièrement, avec un autre Polonais de Suisse, Natan Rajchman, architecte, il reçut une mention au concours pour le projet „Europe-Pont” d'un pont surplombant une partie de Zurich et reliant le nord au sud de l'Europe.



Gdy Watykan zakupił w Szwajcarii z okazji Anno Santo w 1951 roku piękną polichromowaną płasko-rzeźbę w drewnie pod nazwą „Zwiastowanie”, głośno było wówczas o jej twórcy — Mathisie Piotrowskim, zwłaszcza że miał już w dorobku kilka oryginalnych dzieł; nikt jednak nie wiedział, że Mathis jest Polakiem, co więcej, w recenzjach pomijano jego pochodzenie milczeniem. Baczniejsi obserwatorzy zaś zarzucali mu w twórczości „ducha słowiańskiego”, ale młody, utalentowany artysta-rzeźbiarz stał się modny zarówno w miejscu zamieszkania, w Winterthur, jak i w całej Szwajcarii.



Kampania wrześniowa pozostawiła głębokie piętno w wyobraźni i w sercu jej uczestnika Macieja Piotrowskiego. Rysunek „Patrol o Księżycu” przedstawia zabitych żołnierzy polskich, którzy ukazują się jak senna zjawa i znikają. Żołnierze są jakby w półśnie; artysta nawiązał tu do dramatycznych dzieł Polaków zawartych w „Weselu” Stanisława Wyspiańskiego. Poniżej: „Ostatnia szarża” — płaskorzeźba z 1964 r., przedstawiająca także reminiscencje z pamiętnego września. Praca ta wykonana została techniką spawania i „naszwejsowania” drobnych elementów aluminiowych na płycie podkładowej z per-alumenu



Pracownia w Winterthur przypomina raczej halę zakładu hutniczego niż studio artystyczne. Tu powstają oryginalne rzeźby składające się nieraz z wieluset części aluminiowych, które spawa ogniem pan Maciej Piotrowski

MINEŁO OD TEGO CZASU sporo lat. Nazwisko Mathisa Piotrowskiego jest dziś znane w świecie. Jakie były drogi życiowe artysty. Sam o tym mówi:

— Urodziłem się w Krakowie. Tu otrzymałem świadectwo dojrzałości. Wybuchła wojna. 1 września 1939 r. zgłosiłem się jako ochotnik do V Batalionu Pancernych. Uczestniczyłem w całej kampanii wrześniowej, do chwili internowania nas na Węgrzech. Z początkiem 1940 roku przez Jugosławię, Włochy przedostałem się do Francji, gdzie wcielono mnie do II Dywizji Strzelców Pieszych gen. Prugar-Ketlinga.

Jako podchorąży walczył p. Piotrowski pod Belfort, tam też został ranny. Po klęsce Dywizja wycofała się do Szwajcarii. W Zurychu wielu Polaków zgłosiło się na studia. W 1944 r. na wydziale architektury przyszły artysta zaczął studiować rzeźbę. Dyplom Politechniki otrzymał w r. 1950. Wkrótce zaczął wykładać rysunek na wydziale rzeźby w Winterthur. Z kolei przeszedł na samodzielną pracę artystyczną, ale z zawodu pedagoga nie zrezygnował.

— A co wpłynęło na przerwę w pracy artystycznej? — pytamy artystę.

— Okres ten mój szwajcarski profesor dr Hans Mast określił jako walkę wewnętrzną o formę i wymowę. Jedno pewne, że pokonałem metaloplastykę. A zaczęło się wszystko od otrzymania zamówienia na wykonanie rzeźby, w której pozostawiono mi absolutną swobodę twórczą. Zrobiłem projekt kolumny i sylwetki dwóch mężczyzn. Nie były one jednak do wykonania środkami, jakimi dotąd rozporządzano w rzeźbie. Zacząłem więc wycinać figurki z kartonu. To zainspirowało zastąpienie kartonu metalem. Wybrałem aluminium. Materiał jednak był obcy, nie poddawał się. On mnie pokonał, nie ja jego.

Pan Maciej postawił jednak uparcie na aluminium. Zaczął uczyć się sztuki spawania w szwajcarskim centrum badania aluminium w Neuhausen. Po roku otrzymał dyplom spawacza aluminium z prawem zatrudnienia w przemyśle. Zdobyte umiejętności rzemieślnicze przeniósł wtedy do sztuki.

Aluminium pozwoliło mu na tworzenie kompozycji całkowicie dowolnych, różnorodnych, nie ograniczonych rozmiarami i formą. Nie jest to łatwe. Narzędziem pracy zamiast dłuta jest ręczny aparat do spawania, który rzeźbi płomieniem... Aluminium jest jednym z najtrwalszych, prawie

niezniszczalnych surowców. Tak pracując skomponował Piotrowski rzeźby, które przyniosły mu uznanie i sławę. Wszystkie prace przemawiają do widza głęboko ludzką wymową, przedstawiają przeważnie ludzi i ptaki. Zawierają głęboką prawdę o życiu, tęsknotę i zadumę, miłość i piękno ludzkiej natury.

Wystawy tych prac w Szwajcarii wzbudziły uznanie.

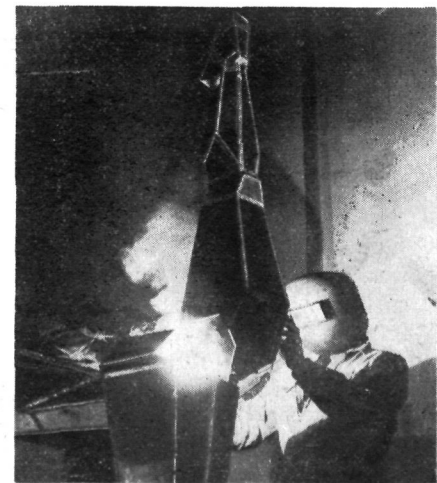
I wtedy, po raz pierwszy po 20 latach, Maciej Piotrowski pojechał do Polski — do swego Kraju, gdzie ma całą rodzinę, wielu przyjaciół i znajomych.

Pierwsza wystawa p. Macieja Piotrowskiego zaprezentowana została w Kraju w jego rodzinnym mieście. Był to rok 1964. Z 18 rzeźb aluminiowych oraz kilkudziesięciu rysunków część zakupiło Muzeum Narodowe oraz władze miejskie. Jego dzieła zaprezentowano później w warszawskiej „Zachęcie”.

Ostatnio p. Maciej Piotrowski zaproszony został w Szwajcarii, gdzie stale mieszka, do udziału w konkursie pn. „Europa Most”. Wraz z polskim architektem Natanem Rajchmanem z Zurychu przedstawił projekt mostu przechodzącego nad Zurychem, a łączącego Europę północną z południową. Projekt ten otrzymał wyróżnienie.

Krystyna KOZŁOWSKA

Maciej Piotrowski przy pracy nad rzeźbą w metalu pod tyt. „Akrobaci”

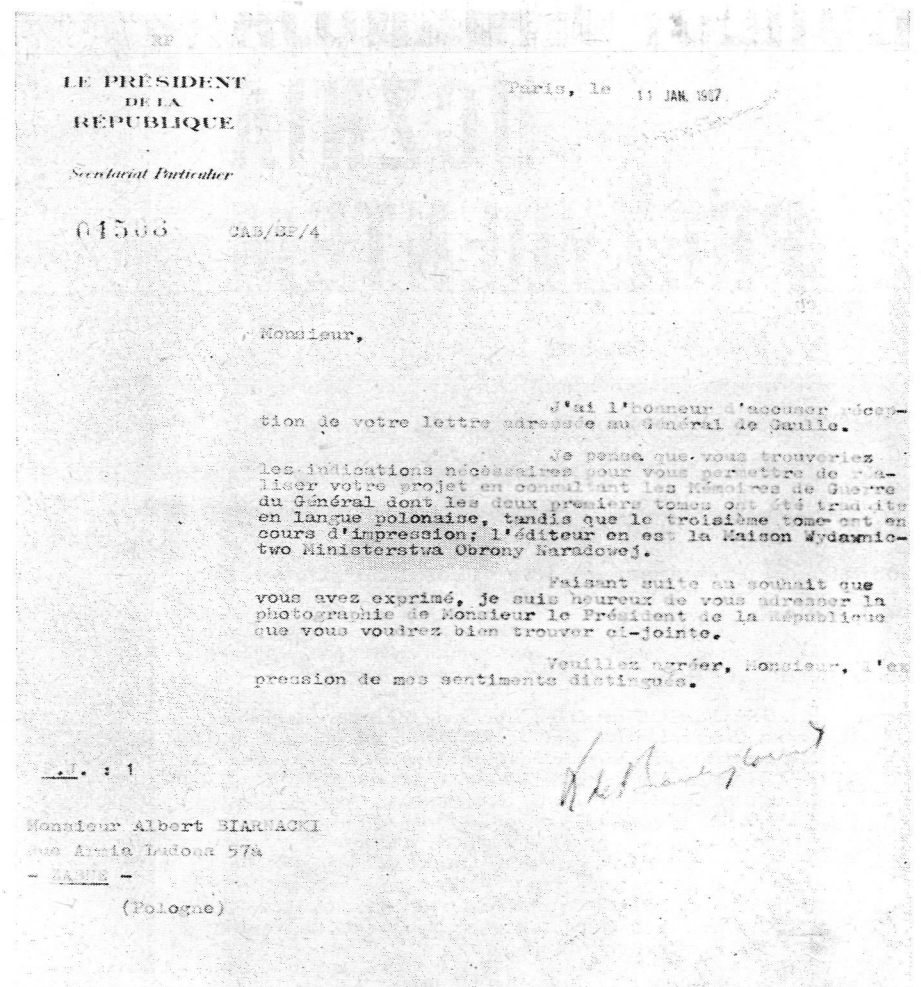


Piszemy do rodziny, do przyjaciół, do znajomych. Młdzież pisze często do jakiegoś aktora lub sportowca, prosząc o zdjęcie z autografem.

Rzadko się zdarza, żeby młody człowiek, uczeń szkoły średniej, napisał list do ...prezydenta zaprzyjżnionego państwa. Ale zdarzyło się.

KORESPONDENCJA UCZNIA Z PREZYDENTEM

Piotr Rutkowski może być przewodnikiem po pałacu wersalskim. Właśnie Wersal jest tematem jego pracy. Opowiada młodszym kolegom o pełnych przepychu salach Wersalu i jego pięknych ogrodach



Wojtek BIERNACKI, uczeń klasy XI B II Liceum Ogólnokształcącego im. Bojowników o Wolność i Demokrację w Zabrze, dnia 10 grudnia 1966 roku wysłał list do generała de Gaulle'a. Po trzech tygodniach Wojtek otrzymał pismo z kancelarii Prezydenta Francji, następującej treści:

MAM ZASZCZYT POWIADOMIĆ PANA LICEALISTĘ

„Mam zaszczyt powiadomić pana, iż otrzymaliśmy list, adresowany do generała de Gaulle'a. Mam nadzieję, że w naszej odpowiedzi znajdzie pan odpowiednie wskazówki, które posłużą do realizacji podjętego projektu. Radzimy zapoznać się z „Pamiętnikami Wojennymi Generała”, z których dwa pierwsze tomy zostały już przetłumaczone na język polski i ukazały się w Polsce nakładem Wydawnictwa MON, trzeci tom znajduje się w trakcie tłumaczenia.

Spełniając pana prośbę, jestem szczęśliwy, że mogę panu przesłać fotografię Prezydenta Republiki.

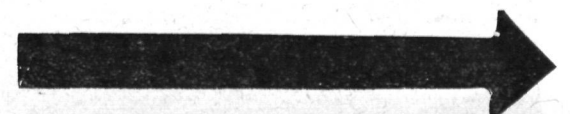
Proszę przyjąć wyrazy szacunku.

Osobisty Sekretarz Prezydenta”.

Radość była ogromna. Natychmiast po otrzymaniu tego niezwykłego listu i fotografii Generała, przybiegł do dyrektorki szkoły, p. mgr Ireny Szczerbińskiej. Jest ona równocześnie wychowawczynią klasy XI B i uczy języka francuskiego. Wojtek stał się bohaterem dnia. Oczywiście na lekcji francuskiego tego dnia o niczym innym nie było mowy. Koleżanki i koledzy przeżywali wspólnie radość Wojtka.

JAK DOSZŁO DO KORESPONDENCJI?

XI B zabrskiego Liceum jest klasą „francuską”. Od czterech lat dziewczęta i chłopcy uczą się tego najpiękniejszego — ich zdaniem — języka. Ponieważ do matury zostało tylko kilka miesięcy, pani Irena zaproponowała uczniom oryginalną formę pogłębienia znajomości francuskiego. Każdy mógł sobie, zgodnie z zainteresowaniami, obrać temat, który opracuje w języku francuskim. Wojtek Biernacki, który interesuje się polityką i satyrą (jego najulubieńszym satyrykiem jest Marian Żalucki) postanowił napisać o Generale de Gaulle.



KORRESPONDENCJA UCZNI Z PREZYDENTEM

Le 10 décembre, Wojtek Biernacki — élève de 11-e (en Pologne classe terminale du lycée, dernière avant le bac) à Zabrze en haute Silésie, envoyait une lettre... au Général de Gaulle, Président de la République Française. Trois semaines plus tard, il recevait une réponse signée par le secrétaire personnel du Président et une photo du Général de Gaulle.

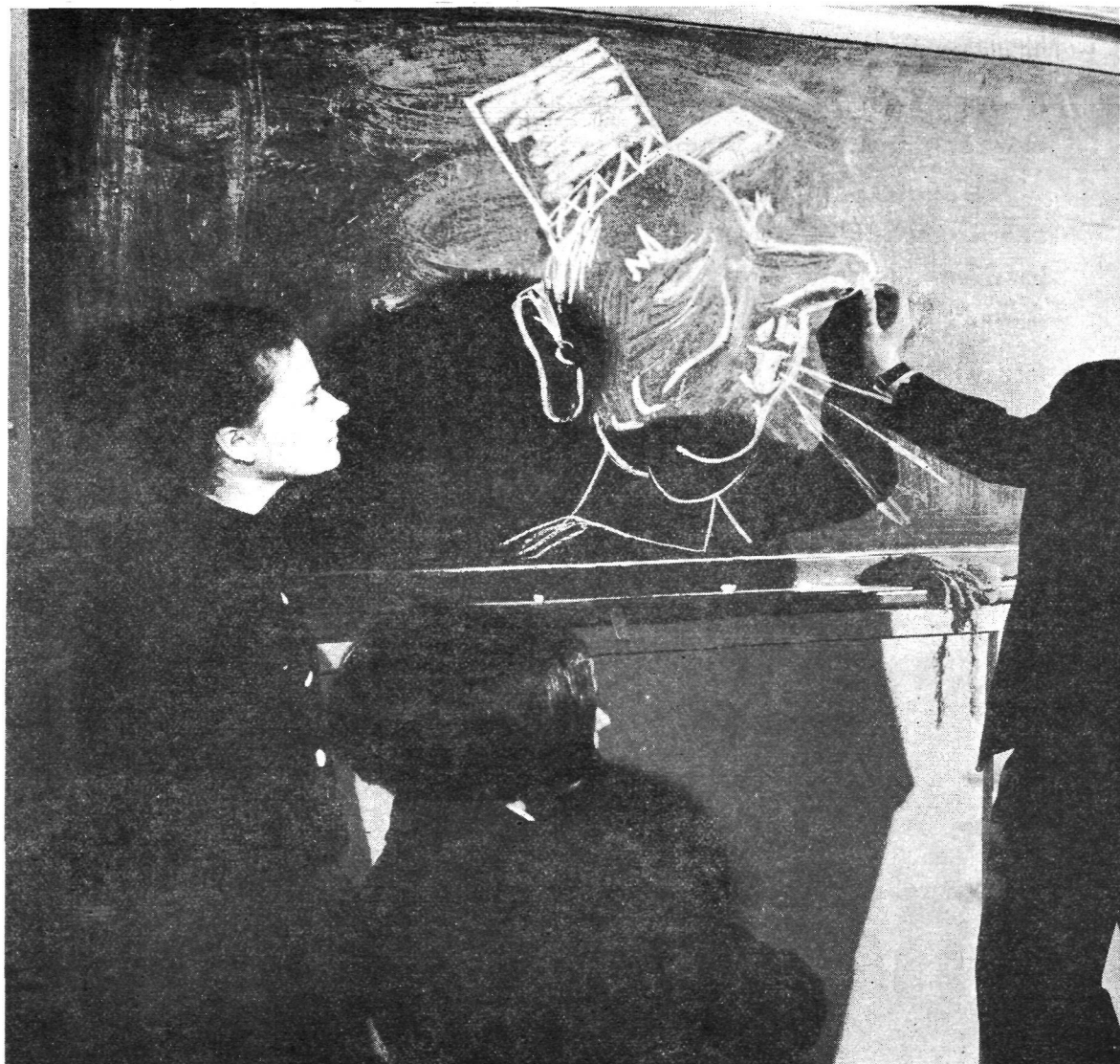
LA DIRECTRICE du III-e Lycée de Zabrze est Mme Irena Szczerbińska qui y enseigne également la langue française. Les élèves de 11-e B. apprennent depuis quatre ans cette langue avec de forts bons résultats. C'est que Mme Szczerbińska née et élevée en Belgique, à Quaregnon près de Mons, rentrée en Pologne avec ses parents en 1946, n'a jamais voulu perdre le contact avec sa deuxième langue maternelle. Et elle l'enseigne d'une façon moderne, en „prohibant” le polonais pendant les heures de classe. Quelques mois avant le bac, elle proposa aux élèves de choisir chacun un sujet de „thèse” et de le traiter en français.

Wojtek Biernacki avait choisi pour sujet „Le Général de Gaulle — homme politique” en puisant pour l'illustrer dans sa riche collection de caricatures.

Piotr Wysocki, fils d'une Parisienne, consacra son ouvrage au château de Versailles, aidé par sa soeur qui étudie à Paris, Bożena Kędziora — à la Guinée francophone, ayant pour „supporter” un enseignant polonais installé dans ce pays, Joanna Jastrzębska — aux peintures rupestres de Savigné, Lidia Mynarek — à Fontainebleau, Bogdana Prusowska — aux montagnes de France, Maryla Kowalczyk — à l'histoire de l'opéra en France et surtout à Bizet, Brygida Koloczek — aux chansonniers français. Brygida fut la seule à ne pas recevoir de réponse à sa lettre; mais elle l'avait envoyée non pas en France, mais à Lucjan Kydryński — présentateur des variétés en Pologne...

On peut être sur que élèves de Zabrze resteront toute leur vie fidèles à l'amour de la France, de sa langue et de sa culture, que leur a si bien su transmettre Madame Szczerbińska.

Klasa XI b — jest „klasą francuską”. Już od czterech lat młodzież uczy się tego najpiękniejszego — ich zdaniem — języka. Na lekcji uczniowie przeglądają nadesłane z Francji a także zebrane w Polsce materiały



Wojtek Biernacki stał się bohaterem dnia. Na lekcji francuskiego Wojtek referował wybrany przez na przerwie koleżanki (od lewej) Bogdana Prusowska, Kazia Burkowska i Stefa Gardała poprosiły

WZBIORACH Wojtek ma ryciny, wycinki z gazet i albumów przedstawiające Generała w mundurze, stroju szkockim, jako kosmonautę, siewcę, boksera, pływaka, rowerzystę, przy czym kołami roweru są obie półkule świata. Są w tym zbiorze fotomontaże, przedstawiające Prezydenta Francji jako rycerza wyprawy krzyżowej, beduina, statwę wolności, w rękawicy na Księżyc, z Brigitte Bardot, ale chyba najlepsza karykatura ukazuje Generała-lekarsza, osłuchującego kulę ziemską.

Wojtek Biernacki wybrał temat zgodnie ze swoimi zainteresowaniami. Po maturze zamierza studiować prawo. Ale najpierw matura. „Ten nie-

wyżki list z Paryża bardzo mnie zobowiązuje powiedział. — Postaram się dobrze zdać maturę, francuski umieć zawsze celująco”.

VERSAILLES

Inny chłopiec z klasy mgr Ireny Szczerbińskiej — Piotr RUTKOWSKI — wybrał sobie temat: „Le château de Versailles”.

W jego albumie oglądamy wspaniałe, barwne są wiersalskiego pałacu, najwspanialszy ogród, fortany. Już dziś można śmiało poprosić Piotra, by był naszym guidem po tym pałacu francuskich królów. Oczywiście to nie są osobiste wspomnienia Piotra z Wersalu. Był tam w 1956 roku razem z mamą, która jest rodowitą paryżanką. Mama Piotra nauczyła się po polsku. W szkole wybrano ją przewodniczącą Komitetu Rodzicielskiego. Jest bardzo energiczna i dyrektorka twierdzi, że p. Rutkowska jest jej prawą ręką.

Siostra Piotra od trzech lat mieszka w Paryżu i uczy się w Alliance Française. Piotr napisał list do siostry i dołączył do niej pocztówkę i albumy potrzebne do opracowania swego tematu.

Piotr ma także przyjaciela we Francji. Poznał go w Zabrzu w ubiegłym roku, zaprzyjaźnili się i korespondują ze sobą. Wymieniają znaczki, bo filatelistyka to hobby Piotra. Zbiera głównie znaczki francuskie. Po maturze będzie studiował górnictwo. Język francuski znał wcześniej aniżeli polski. O mamy „zaraził się” miłością do Francji, do jej języka, do Wersalu.

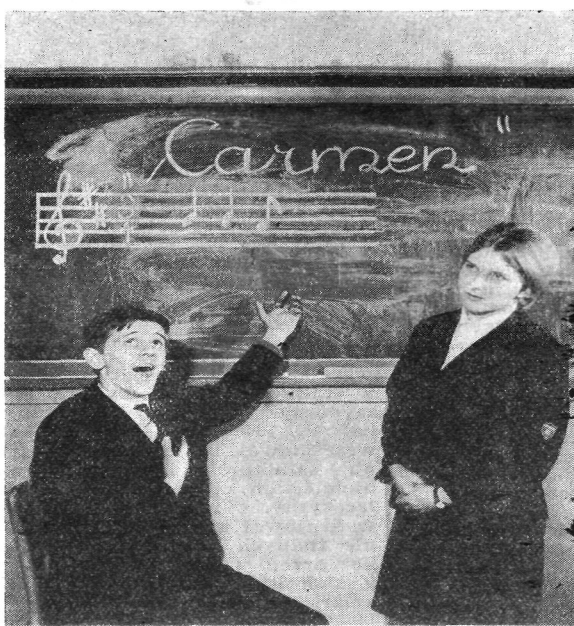
ZARAŻLIWA CHOROBA

W tej „zaraźliwej chorobie” ma też swój udział i to duży mgr Irena Szczerbińska. Urodzona i wychowana w Belgii, w Quaregnon koło Mons, pokochała język francuski i po przyjeździe z rodzicami do Polski w 1946 roku stale pracuje na tym, by znajomość francuskiego pogłębić. Do dzieła związana jest z Belgią i Francją. Studiując geografii na Uniwersytecie Jagiellońskim, na temat swej pracy magisterskiej wybrała „Ewolucję przemysłowego ciężkiego w Belgii po drugiej wojnie światowej”.

W pracy tej pisała o swoich rodzinnych stronach i okolicach Mons. Zbierając materiały pani Irena znalazła w bibliotece Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie publikacje Uniwersytetu w Liège. Wyślę tam list z prośbą o pożyczanie kilku książek potrzebnych jej do skończenia pracy magisterskiej. Otrzymała wówczas serdeczną odpowiedź, w której poinformowano ją, że list jej przekazano przewodniczącemu Federacji Geografów p. Robertowi Androwi. W kilka dni później otrzymała wiele map i książek część w prezencie z dedykacją.



Temat — generał de Gaulle w humorystyce. A ojtka, by narysował na tablicy karykaturę Generała



Marylka Kowalczyk kocha muzykę. Zresztą to rodzinną skłonność. Ojciec Marylki jest zawodowym muzykiem. Nic więc dziwnego, że jako temat swojej pracy wybrała ona historię opery francuskiej, ze szczególnym uwzględnieniem Bizeta. Na zdjęciu z lewej: Marylka z kolegą Januszem Mrozem. Młodzież, o której piszemy, uczy się w tym gmachu (na zdjęciu z prawej). Na przerwie, gdy jest pogodnie, dziewczęta i chłopcy lubią spacerować po dziedzińcu szkoły ze swoją dyrektorką, która jest ich wychowawczynią i nauczycielką języka francuskiego



EGZOTYKA PO FRANCUSKU

Koleżanka Wojtka i Piotra — **Bożena KĘDZIORA** interesuje się francuszczyzną w krajach egzotycznych. Postanowiła napisać o Gwinei. Bożenka przygotowała w czasie świąt Bożego Narodzenia piękny album w bordowej okładce, na której jest wytłoczony złotymi literami napis: „La République de Guinée”.

Bożenka Kędziora, tak jak przystało na najlepszą uczennicę, bardzo rzetelnie opracowuje wybrany temat. Podzieliła go na siedem rozdziałów. Najpierw opisała położenie geograficzne, ludność i bogactwa naturalne. W drugim rozdziale przedstawiła rys historyczny, strukturę polityczną i administracyjną. Trzeci rozdział poświęciła rozwojowi rolnictwa, czwarty — uprzemysłowieniu, w piątym nakreśliła perspektywy gospodarcze tego kraju. W kolejnych rozdziałach omówiła życie społeczne oraz kulturę Gwinei.

W swej ciekawej pracy, dzięki której nie tylko poznała Gwineę, ale przede wszystkim pogłębiła znajomość języka francuskiego, korzystała z encyklopedii, z różnych wydawnictw oraz czasopisma „Poznaj świat”.

Ażeby uzupełnić materiały do tematu, napisała do polskiego nauczyciela w Gwinei, p. Aleksandra Kawalca, który uczy tam języka francuskiego. Jego adres otrzymała od swojej wychowawczyni, dyrektorki szkoły, mgr Ireny Szczerbińskiej. Oczywiście p. Kawalec szybko odpisał i przysłał jej mapę Gwinei oraz wiele barwnych widokówek.

Bożenka interesuje się poezją, sama recytuje, i może dlatego urzekła ją daleka, nieznaną Gwineę.

INNE LISTY, JEDEN BEZ ODPOWIEDZI ALE... Z KRAJU

Inni uczniowie nie pozostali w tyle. **Joanna JASTRZEBSKA**, która pisze pracę o antycznej sztuce, postarała się o ilustracje odkryć w grocie Chauvau à Savigné. **Lidia MYNAREK**, której rodzina z dziada pradziada mieszka w Zabrze, w odpowiedzi na list otrzymała z Paryża album o interesującym ją zamku Fontainebleau. **Bogdana PRUSZOWSKA** lubi turystykę, więc wybrała temat: „Góry Francji”. Napisała list do poznanego kiedyś w Chorzwie kolegi z Grenoble. Przesłał jej pocztówki i prospekty. Album Bogusi jest zrobiony bardzo starannie. Widać, że w tę pracę włożyła całe serce.

O historii i rozwoju opery francuskiej, a zwłaszcza o Bizecie i o jego „Carmen” pisze **Marylka KOWALCZYK**. Muzyka to zainteresowanie rodzinne. Tatusz Marylki gra na puzonie w Wielkiej Orkiestrze Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach, mamusia też ma wykształcenie muzyczne, a Marylka już dwanaście lat gra na skrzypcach i na fortepianie. Równocześnie chodziła do szkoły muzycznej, ale przygotowując się do matury musiała na rok przerwać naukę muzyki.

Muzyką interesuje się też **Brygida KOŁOCZEK**. „Francuscy piosenkarze” to temat jej pracy. Ma trochę fotosów, a od Gilberta Bécaud i Johna Holliday, nawet dedykacje.

Brygida również wysłała list, prosząc o nadesłanie materiałów potrzebnych do opracowania swojego przedmaturalnego tematu. Napisała nie do Francji, tylko do znanego polskiego konferansjera p. Lucjana Kydryńskiego. Dotychczas nie otrzymała odpowiedzi na swój list. I nawet tak bardzo się nie dziwi, bo przecież pan Kydryński nie ma osobistego sekretarza...

Wanda KRASOWSKA

Zdjęcia: Bogdan Krasicki



Bożena Kędziora otrzymała z Gwinei piękne, kolorowe pocztówki. Każdy z kolegów chce je zobaczyć

Oczywiście nie ograniczono się do jednego listu. Pan André zainteresował się Polską i jeszcze teraz, chociaż pani Irena od dwunastu lat pracuje zawodowo, od czasu do czasu przesyła panu Robertowi André ciekawy, bogato ilustrowany, miesięcznik „La Pologne”.

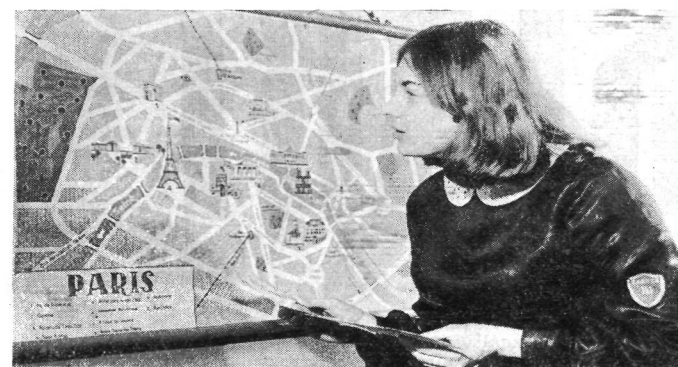
Pani Irena każdą wolną chwilę poświęca na czytanie po francusku. Swoim dzieciom tłumaczy opowiadania i bajki.

Tę wielką miłość do języka francuskiego p. Irena Szczerbińska wpoila swoim wychowankom. Jej metoda nauczania języka poprzez wypowiedzianie się uczniów w języku francuskim o najbardziej interesujących ich sprawach daje bardzo dobre rezultaty.

Niedawno mgr Szczerbińska przeprowadziła ciekawy eksperyment. W gabinecie językowym wybrała pytania maturalne sprzed trzech lat i zadała je swoim wychowankom z XI B. Wszyscy dobrze odpowiadali. Nikt ich nie zmusza do nauki, nie boją się złych stopni. Oni sami chcą się uczyć francuskiego, bo to jest ich ulubiony przedmiot.



Bogdana Prusowska pisze o górach Francji. Swój album bogato ilustruje wycinankami z barwnych prospektów



Gabinet językowy jest wspaniale wyposażony. Jest tu magnetofon, bogata biblioteka i nawet plan Paryża. Marysia Zirko szuka właśnie na planie cmentarza Pere-le-Chaise

Pieśniarze francuscy to hobby Brygidki Kołoczek. O nich pisze prace. Dużą pomocą dla Brygidki były ukazujące się w „Tygodniku Polskim” zdjęcia francuskich piosenkarzy



Autor wspomnień, których fragment zamieszczamy poniżej, Adam Królikiewicz, był jednym z najlepszych jeźdźców Polski w latach 1922—1933, brał udział w kilku olimpiadach, święcił triumfy na wielu torach Europy i Ameryki, m. in. wielokrotnie zwyciężał w Nicei, był członkiem drużyny która zdobyła Puchar Narodów.

Adam Królikiewicz zmarł w ubiegłym roku w wieku lat 72. Pozostawił tom wspomnień, z których właśnie pochodzi fragment „Mój ostatni start”. Tym ostatnim startem — według autora — były zawody w Nicei w 1933. Uległ wówczas wypadkowi, który przesądził o dalszych losach jego sportowej kariery. Lekarze nie od razu zorientowali się w kontuzji olimpijczyka, próbował on nawet w bólach jeździć, służąc im radą i doświadczeniem, pełnił też wielokrotnie funkcje kierownika polskiej drużyny narodowej przy startach zagranicznych.

Opisany we wspomnieniach „ostatni

start” był tylko pozornie ostatnim, gdyż niemal do końca życia Królikiewicz nie rozstawał się z koniem. Po drugiej wojnie mieszkał w Krakowie, gdzie do końca pełnił funkcje trenera miejscowego Klubu Jeździeckiego, a jako dawny olimpijczyk i zasłużony mistrz sportu cieszył się nadal wielką sympatią i uznaniem w kręgach sportowych. Zaangażowany w 1964 r. przez Film Polski do kierowania i uczestniczenia w kawalerskich scenach „Popiołów” odtwarzał m. in. na czele szwadronu szarżę pod Somosierrą. I był to jego ostatni start w życiu.

Poniósł go przy nim brawura. Nie wytrzymał jej jednak podeszły wiek kawalerzysty. Spadł z konia, został przywalony jego ciężarem, złamał kręgosłup. Zrobiono wszystko, by go ratować. Na pomoc zasłużonemu oficerowi i sportowcowi pośpieszyli nie tylko lekarze i koledzy z Kraju, byli szwależerowie, jego dawni koledzy przebywający na emigracji, przysłali mu z Anglii specjalny wózek inwalidzki. Niestety, i serdeczna opieka lekarska, i koleżeńskie pomoc nie na wiele się już zdały. Kręgosłup b. olimpijczyka, pierwszy raz kontuzjowany podczas startu w Nicei w 1933, tym razem zła-

many był w kilku miejscach. Nie zdążyło mu tego. Męczył się kilka tygodni, bo silne serce nie chciało się poddać nieubłaganej śmierci.

Po śmierci Królikiewicza z okrytej chwałą i licznymi sukcesami polskiej ekipy jeździeckiej lat międzywojennych pozostało już tylko trzech jeźdźców: mjr Toczek, który mieszka koło Przemyśla i ma już blisko 80 lat, mjr Kulesza, najmłodszy z ekipy, który przez szereg lat prowadził szkołę jeździecką w Belgii a obecnie ma taką szkołę w Kanadzie, oraz mjr Roycewicz — sławny „Leliwa” d-ca batalionu AK im. Kilińskiego z powstania warszawskiego, zamieszkujący obecnie w stolicy. Rtm Dobrzański, szaleńczy zagończyk, zginął jako słynny „Hubal” w 1940 r., kiedy po kampanii wrześniowej na czele swego szwadronu samotnie kontynuował wojnę z niemieckim najeźdźcą na terenie Kielecczyzny, a rtm. Szosland, działający w krajowej konspiracji, padł w bliżej nie znanych okolicznościach, na krótko przed powstaniem w Warszawie. Znacomity hippista płk Römmel, zmarł 7 marca br. w Elblągu.

(Red.)



MÓJ OSTATNI START



Na górnym zdjęciu Adam Królikiewicz po awansie z rotmistrza na majora. Powyżej: reprodukcja z ilustrowanego magazynu sportowego „Raz, dwa, trzy” przedstawiająca sprawozdanie i fotoreportaż z zimowych zawodów konnych w Zakopanem. Na centralnym zdjęciu — Adam Królikiewicz podczas pokonywania przeszkody na „Mylordzie”, koniu pochodzącym ze Szwajcarii. Królikiewicz był wówczas u szczytu sportowej formy i wielkiej jeździeckiej kariery, znany był i sławny w całej Europie

ZBLIŻAŁ SIĘ nieubłagane dzień, w którym, ciężkim i niebezpiecznym wypadkiem, miał się zakończyć najbardziej aktywny, jakże szczęśliwy okres mego życia i mej sportowej kariery długoletniego zawodnika.

Po stażach dowodzenia plutonem, a następnie szwadronem w szeregach macierzystego pierwszego pułku szwoleżerów, po ukończonym kursie instruktorów jazdy konnej, kilkulatniej pracy instruktorskiej i wychowawczej w Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu, w międzyczasie po licznych moich startach w ciągu 13 lat i bogatym osobistym dorobku oraz osiągnięciach sportowych — wiosną 1933 roku zostałem awansowany do stopnia majora.

Zanim to nieszczęście całym swym ogromem na mnie spadło, musiałem oczywiście pomedyć się przedtem nerwowo w napiętej atmosferze Rembertowa, na tak zwanym majorowskim kursie w słynnym ośrodku wyszkolenia taktycznego dla dowódców broni połączonych. W zaden sposób nie udało mi się tej przyjemności uniknąć.

Wreszcie po okresie dużego nasilenia mocno skondensowanej pracy, ćwiczeń i egzaminów, miałem tę zmore już za sobą. Czując ciężar utrapień, jakie mogły spaść na mnie po ukończeniu kursu, zawczasu prosiłem moich przełożonych, by z lekkim sercem, bez żadnych skrępowań pominieli mnie w awansach, pozwalając mi do końca życia zostać rotmistrzem. Niestety, nic nie pomogły moje w tym kierunku rezygnacje i zabiegi. Przyszły najbliższe nominacje, i oto trzeba mi się było pożegnać z najpiękniejszą i najbardziej dojrzałą, a jednak ciągle frapującą i

ADAM KRÓLIKIEWICZ

radosną szarżą, o której marzy każdy młodszy oficer kawalerii.

Niemal każdy z nas, przekroczywszy trudny rubikon na drodze do stopnia majora, niechętnie, z żalem, a nieraz z leżką sentymentu, rozstawał się z najpiękniejszym stopniem rotmistrza.

Choć z biegiem narastających lat i obowiązków nie da się niczym powstrzymać starości, to jednak tężyźnę, sprężystość fizyczną i młodość ducha w dużym stopniu nadal zachować można przez racjonalnie uprawiany sport. Oddawałem mu się z prawdziwą pasją nawet i dość ryzykownie. Poza normalną liniową służbą w pułku na stanowisku dowódcy szwadronu, czy też pracą instruktora jazdy konnej w Centrum Wyszkożenia Kawalerii — dużo wolnego czasu najchętniej poświęcałem rozwojowi swych jeździeckich zdolności. Ujeżdżałem różne konie, przygotowywałem je i siebie do udziału w emocjonujących jazdach i zawodach. Dawało mi to dużo radości życia.

Lecz teraz, z chwilą awansu, miały spaść na mnie obowiązki w znacznym stopniu ograniczające mój osobisty udział we wszelkiego rodzaju krajowych i międzynarodowych konkursach. A że nieszczęścia chodzą parami, więc i mój awans przyniósł mi w krótkim czasie, nowe, poważne zmiany.

Zanim to nastąpiło, jakby w nagrodę za męki Rembertowa, dane mi było przeżyć bajeczny, beztrudny okres roku studiów i obserwacji na stażu w słynnych włoskich szkołach jeździeckich w Pinerolo i Tordi Quinto oraz w Sau-

mur we Francji, dokąd zostałem służbowo wydelegowany w 1933 r. przez Departament Kawalerii Ministerstwa Spraw Wojskowych.

Po powrocie z zagranicy, objąwszy eksponowane, kierownicze stanowisko Szefa Ekwitacji*) i jednocześnie komendanta Szkoły Jazdy Konnej w Centrum Wyszkożenia Kawalerii w Grudziądzu w roku 1934, z żalem postanowiłem zakończyć swoją pełną sukcesów karierę sportową, o ciągle jeszcze dużych możliwościach zawodnika.

W pięć lat później, w tragicznym roku 1939 okazało się, że los przeznaczył mi zaszczyt i smutek być ostatnim już, niestety, szefem polskiej ekwitacji. Tak bowiem mi wypadło, że w tym samym skromnym stopniu majora 1 Pułku Szwoleżerów na stanowisku i etacie pułkownika, zakończyłem swoją długoletnią, zawodową służbę wojskową.

W międzyczasie do roku 1933 miałem za sobą niemały dorobek sportowy. Wśród wielu startów na różnych zagranicznych torach, byłem jedynym swego rodzaju polskim jubilatem, na słynnym w Europie nicejskim hippodromie.

WŁASNIE DZIESIĘĆ LAT miało od chwili, gdy na „Jasnym Brzegu” francuskiej Riwiery, jako młody, nikomu nie znany polski zawodnik, w mundurze porucznika szwoleżerów, stawiałem swe pierwsze, zagraniczne, szczę-

śliwe kroki jeździeckie. Na tamtejszym zielonym torze, przy udziale, pomocy i pełnej załodze moich koni „Jaska” i „Picadora”, przeżywałem radość i dumę pierwszych dla Polski odniesionych sukcesów.

Teraz, w roku 1933, jako stary już wyga i rutyniarz, zawodnik o głośnym nazwisku udawałem się znowu nad „Lazurowe Wybrzeże”, na słynne międzynarodowe spotkanie, tym razem z jednym tylko pewnym skoczkiem, moim własnym „Milordem”.

W ostatniej chwili jako drugiego konia przydzielono mi z braku innego, tuż przed samym wyjazdem z kraju, „Regenta”. Koń mój, mając za sobą szereg efektownych startów w zawodach krajowych, został zakupiony dla grupy sportu konnego od znanego jeźdźca artylerzysty konnego, por. Nehrlicza-Dąbskiego.

„Regenta” dosiadłem po raz pierwszy dopiero na miejscu w Nicei. Podczas pierwszego dnia zawodów w najeździe na dość wysoko rozpiętą szeroką przeszkodę, złożoną z potrójnych barier tzw. „triplebarre” — „Regent” odmówił mi skoku, w ostatniej chwili stając przed nią jak wryty w ziemię. Było to dla mnie nieprzyjemną niespodzianką, nie tylko z powodu kilku karnych punktów i straty czasu. Już sam fakt nieposłuszeństwa konia, dosiadanego przeze mnie na torze, gdzie mi się to prawie nigdy nie zdarzało, kiedy jeździłem na własnych — podrażnił moją ambicję, zmuszając do energicznej reakcji. Zaciśnięciem więc zębów i ponownie najeżdżając użyłem tym razem oprócz tydek i ostróg — palcata.**)

*) ekwitacja — umiejętność jazdy konnej
**) krótka trzcinka

„Regent” zorientował się, że to nie żarty, zaniechał wykrętów, „nagazowany” i zdopingowany, poderwał się do skoku szaleńczo, o kilka metrów wcześniej. W tej sytuacji o przebyciu bez wypadku wysokiej i jednocześnie szerokiej przeszkody, nie mogło być mowy. Kraksa z niewiadomym zakończeniem była nieunikniona. Miałem ją w oczach. Widziałem jak przednie nogi konia trafiają w sam środek zawieszonych drągów. Wraz z rozwaloną przeszkodą znaleźliśmy się obaj na ziemi. Szczęśliwie nie zostałem przyduszony paruset kilogramowym ciężarem upadającego konia.

Poczułem niesamowity ból skoncentrowany w prawej łopacie i barku. Zrozumiałem — złamanie! Chciałem się podnieść z pozycji leżącej, lecz nie mogłem dokonać tego o własnych siłach. Pociemniało mi w oczach. Czulem jakieś poważne niebezpieczeństwo. Jeszcze wzrok i przytomność działa. Widzę dokładnie, jak na filmie, oddalającego się klusem „Regenta”. Żołnierze 24 batalionu francuskich strzelców alpejskich, stacjonowanego w cudnej zatoce Villefranche pod Niceą, obsługujący tor przeszkód — usiłują go złapać. Spostzegam, a wszystko to dzieje się w krótkich, bolesnych dla mnie sekundach — podbiegających do mnie kolegów oficerów portugalskich, Francuzów, Hiszpanów i Włochów, którzy

stojąc przy furtce prowadzącej na stadion, byli najbliższymi świadkami wypadku. Jaskrawe słońce oblewające swymi gorącymi promieniami tamtejszy uroczy świat, naraz, nienaturalnie zasnuło się mrokiem, straciło w mych oczach swój intensywny blask. Czuję zapadającą nade mną noc. W wolnym tempie, mając wyraźne poczucie rzeczywistości, dokładnie zdaję sobie sprawę z uchodzącego ze mnie życia... Nie jest mi ono obojętne. Z całą świadomością, jasnością umysłu jeszcze raz chwytam się na kontroli mych własnych myśli i doznanych wrażeń. W wielkiej ciszy, na tle czystego błękitu nieba, nad zapelnionymi publicznością trybunami, jak przez mgłę widzę szereg różnobarwnych narodowych flag. Opieram spojrzenie o nasze białoczerwone kolory. Tyle razy widziano je tu na najwyższym maszcie zwycięzców. Czyżbym ich już nie miał więcej zobaczyć? Czy to zbliża się mój koniec?...

Instynktowny zmysł obrony każe mi wziąć głęboki, zbawienny oddech. Czuję, że w dziwnym, ostatnim wysiłku mej woli, jakby w mgnieniu oka, udaje mi się złapać uchodzącą ze mnie wątką nitkę życia. Z tym momentem wróciła mi na nowo pełna świadomość i odczuwalność wrażeń.

(Dalszy ciąg w następnym numerze)

LE COMMANDANT ADAM KRÓLIKIEWICZ fut un des meilleurs cavaliers polonais des années 1922—1933. Il participa à plusieurs Jeux Olympiques, triompha dans d'innombrables concours d'équitation en Europe et en Amérique, fut plusieurs fois vainqueur du difficile concours de Nice, figura dans l'équipe qui remporta pour la Pologne la Coupe des Nations. C'est à Nice, en 1933, qu'il fut victime d'un grave accident — il montait un cheval inconnu — qui se solda par une lésion de la colonne vertébrale et l'obligea à se retirer de la compétition. Mais le Cdt Królikiewicz resta toute sa vie — il est mort l'an dernier à 72 ans — fidèle à la plus noble conquête de l'homme — Nommé en 1934 Chef de l'Equitation de l'Armée Polonaise et Commandant du Cadre des Ecuyers du Centre de Formation de la Cavalerie à Grudziądz, on lui doit d'avoir formé et entraîné des dizaines de cavaliers qui lui firent honneur par leurs victoires. Retiré après la guerre à Cracovie, il continuait à entraîner les jeunes cavaliers du Club d'Equitation local. En 1964, il fut engagé pour diriger les mouvements de cavalerie et les charges des chevaux-légers au cours du tournage du film „Les Cendres”. Payant de sa personne, il participa lui-même à la reconstitution de la célèbre charge de Somosierra. Et ce fut l'accident, une chute grave, qui lui coûta la vie après plusieurs semaines d'atroces souffrances. Nous publions quelques fragments des souvenirs du Cdt Adam Królikiewicz. Voici d'abord Nice, en 1933. Le cavalier polonais est un des favoris du concours, studieusement surveillé par ses concurrents français, italiens, portugais, espagnols... Mais il monte „Regent”, un cheval envoyé sur la Côte d'Azur à la dernière minute. Monture et cavalier ne se connaissent pas. „Regent” refuse un des plus difficiles obstacles — la triple barre. Blessé dans son amour-propre — jamais pareille mésaventure ne lui était arrivée — le Cdt Królikiewicz — reprend fermement le cheval. „Regent” comprend que son cavalier ne plaisante pas, mais prend trop tôt son élan et heurte la barre. C'est la chute et la contusion qui terminent la carrière sportive du célèbre écuyer polonais...

Ostatnie zdjęcie Adama Królikiewicza z 1964 roku, kiedy miał już 70 lat i brał udział w nakręcaniu scen jeździeckich do filmu A. Wajdy „Popioly”



Jeśli jesteś stałym prenumeratorem

**a pozyskasz dla pisma nowego abonenta
i w terminie do 10 maja br.**

nadeślesz mandat pod adresem redakcji

Paryż IX, 23, rue Taitbout

**weźmiesz udział w losowaniu cennych nagród
jako uczestnik naszego WIELKIEGO KONKURSU**

pt. NAJMILSZY PODAREK

Roczna prenumerata „Tygodnika Polskiego” wynosi:

we FRANCJI: — 17 F, w BELGII — 210 fr.b.

Les chanteurs chez nous

NOËL DESCHAMPS

UN VISAGE JEUNE, déjà marqué pourtant. Ses yeux sont très enfoncés, tirés vers les tempes. Une épaisse mèche blonde lui barre le front. Le regard bleu est clair, intense, presque trop sérieux. Les lèvres souvent serrées ont parfois une expression amère. La silhouette donne une impression de minceur vigoureuse.

Il parle avec aisance en choisissant des mots précis, recherchés même. Sur ses genoux, ses mains fortes et musclées se croisent et se décroisent merveusement. Il veut paraître calme et assuré, mais on le sent tendu. Il ne se dévoile pas facilement. Rapidement et discrètement il évoque son passé: „Je suis né le 22 juin 1942 à Villefranche-sur-Saône”. Il ne connaissait pas son père. Il fait silence sur son enfance sans doute pas très gaie malgré une soeur plus âgée et deux frères plus jeunes.

A quatorze ans, il entre en pension et n'en sortira que pour travailler à l'usine; mais il ajoute aussitôt: „Il ne faut pas insister là-dessus, il n'y a aucune raison que l'on me plaigne et j'ai horreur de ça”.

Son passé ne lui a laissé ni regret ni rancune, bien au contraire, mais il est poussé par le désir d'en sortir. Ambitieux, révolté, il l'est d'une manière positive. Il revendique le succès. Pour l'obtenir, il va se lancer dans un monde auquel rien ne l'a préparé, mais il est prêt à en franchir tous les obstacles, à condition, toutefois, de ne pas compromettre ce qu'il a de plus précieux: ses amis, ceux des jours difficiles passent avant tout. Il s'attache à l'authenticité, à ce qui le sort de sa solitude.

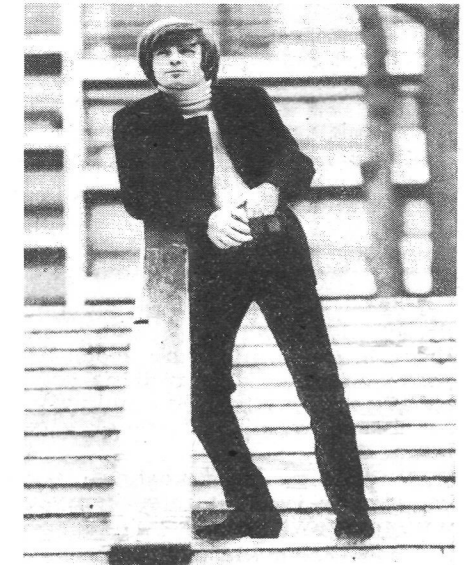
Ajusteur dans une usine, il chante sans arrêt à l'atelier et parle avec ses copains de faire un jour aussi bien que les chanteurs en vogue. Il se passionne aussi pour le football. Il s'entraîne beaucoup et joue dès qu'il a une heure de libre. Mais un jour c'est le drame; sérieusement blessé aux deux pieds, le football lui est définitivement interdit.

Il s'adonne alors complètement à la chanson qui devient pour lui le seul moyen de s'exprimer et de vivre vraiment.

Il a la maladresse du jeune homme transplanté dans un milieu tout neuf, encore désorienté, gêné par sa spontanéité et cette incapacité à dissimuler. Il l'avoue en plaisantant: „Dans mes premiers interviews à la radio, quand je n'aimais pas quelqu'un, je le disais”: Il cherche à connaître avec une avidité assez hétéroclite; il lit un peu au hasard: „Tous les livres de poche. Tintin, Pierre Benoit, Hervé Bazin, Lucky Luke”. Au cinéma il est séduit par la grande aventure: Les Canons de Navarone, Les 7 mercenaires. Ce goût de

l'aventure, cette soif de connaissance, on les retrouve dans son amour des voyages. Il est bien décidé à parcourir le monde.

En matière de mariage il a des goûts bien précis: il veut épouser une femme „petite, douce, genre femme de poche, pas maquillée du tout”. Il n'aime pas la grande vie. Ses désirs sont simples: „avoir des gosses... une grande ferme à la campagne... des amis... être heureux...” Obsession du bonheur, besoin effréné de chaleur humaine, d'être un garçon comme tout le monde, entouré, aimé, besoin qu'il exprime avec une sorte de candeur.



Il aime le travail en équipe. Travailleur acharné du reste, il est capable d'enregistrer des nuits entières pour mettre au point et atteindre une sorte de perfection technique. Il faut dire aussi, que ce qu'il a réussi est déjà remarquable; personne en France n'a mieux utilisé la „voix de tête”. Ce qu'il fait est en outre très personnel, marqué, chaleureux et d'une originale musicalité.

Noël Deschamps est une personnalité complexe, à la fois naïve et mûre, exigeante, volontaire, très riche et totalement honnête. Il est déterminé à faire longtemps ce métier et il ne perd pas de temps. Il avance en travaillant sans arrêt, avec acharnement. Tout va bien et tout ira de mieux en mieux pour lui, mais on sent qu'il ne sera jamais satisfait de lui-même ni „arrivé”. Il sait où il va, il sait ce qu'il veut mais il restera toujours „en devenir”.

**Po dwuletnim doświadczeniu organizujemy ponownie
wycieczki do LWOWA na 14 dni**

w warunkach lepszych niż w poprzednich latach

WYJAZD z PARYŻA i METZU 3 oraz 31 LIPCA

⊙ miejsca siedzące zapewnione ⊙ obsługa opiekunów

⊙ bagażowi do noszenia walizek

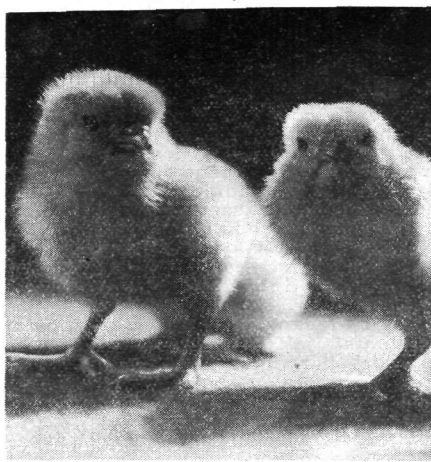
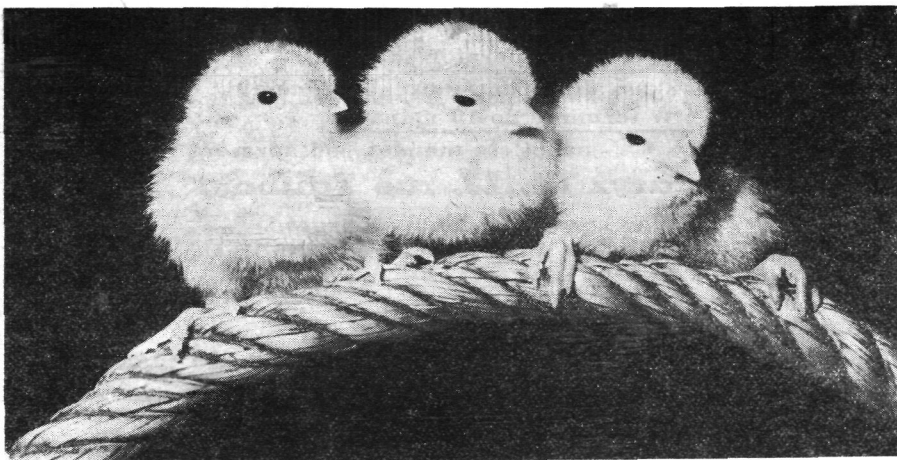
ILOŚĆ MIEJSC OGRANICZONA

Informacje i zapisy: **TRANSTOURS** (Licencja 132)

49, avenue de l'Opéra — PARIS II-e

22, rue du 4 Septembre — PARIS II-e

oraz nasi korespondenci terenowi.



Pięć żółtych kurcząt

Zosia i Władek oczekiwali z największą niecierpliwością świąt wielkanocnych. Na święta bowiem mieli pojechać z Lublina aż do Francji, do Pas-de-Calais, dokąd zaprosiła ich ciocia Hela. Dzieci cieszyły się już na ten wyjazd od dłuższego czasu. Nie znały cioci Heli, nie znały Francji, ale myśl o tej podróży wprawiała je w radosne podniecenie.

— Co zawieziemy cioci w upominku? Tatus już przygotował dla niej śliczną puchową kołdrę, ale dzieci chciały od siebie również przywieźć jej jakiś podarek. Zosia wpadła na świetny pomysł.

— Zrobię jej piękne pisanki! Takie, jakich we Francji jeszcze nie widziano.

Władek zaś myślał, myślał i wymyślił jeszcze coś lepszego. Kwocznka Puchatka wysiedziała niedawno śliczne, żółte kurczątka. — Pięć takich kurcząt — żółciątek zawiozł do Francji!

Kiedy nadszedł dzień wyjazdu, oprócz walizek, które dźwigał tatus, każde z dzieci niosło ostrożnie duże pudło. Zosia drżała, by jej pisanki się nie potłukły, a Władzio co chwilę zaglądał przez dziurkę do swego pudła, czy jego kurczątka dobrze się mają.

Podróż minęła szybko i w pierwszy dzień świąt dzieci przyjechały do małego miasta w północnej Francji, gdzie mieszkała ciocia Hela. Cóż za piękne przyjęcie zgotowała rodzina gościom z Polski! Stół świąteczny pięknie był nakryty, na białym obrusie zieleni, wędliny, baranek z cukru i babki wielkanocne.

— Widzicie, moi kochani — mówiła ciocia Hela — choć tyle lat mieszkamy we Francji, zachowujemy zawsze stare polskie tradycje...

Na to Zosia klasnęła w ręce.

— Ale pisanek na stole nie widzę — zawołała i wyjęła szybko kraszanki z pudła, układając je na półmisku. Wszyscy domownicy się zbiegli, aby je obejrzeć i zachwytem nie było końca. Nagle — co to? Na stół skoczyły żółte, puchate kurczątka. Jedno, drugie, trzecie, czwarte...

— A gdzie piąte? — zawołał Władek, zanim jeszcze goście zdążyli ochłonąć ze zdumienia na widok tych nieoczekiwanych, skrzydlatych gości. Piątego kurczątka jednak nie było. Szukano go pod stołem, pod łózkami, w pokoju, w kuchni — ani śladu.

— No, trudno — śmiała się ciocia — siadajmy do stołu bez tego piątego gościa. I tak jest tu nas nimało.

A że wszyscy byli głodni, posłuchano z ochotą jej rady. Zabrzęczały widelce i talerze...

A tymczasem piąte kurczątko zawieruszyło się gdzieś wśród walizek i wybiegło na podwórko. Rozjeżdżało się ciekawie, skoczyło na płot, a stamtąd na gościniec. Zdaje się, że chciało sobie obejrzeć nieznaną mu Francję, bo skakało sobie z jednego miejsca na drugie. Aż tu nagle ujrzało jakieś otwarte okno...

Stary, siwy mer miasteczka odpoczywał sobie właśnie na fotelu, gdy wtem podskoczył nagle. Coś zatrzępotało nad oknem i na ramieniu usiadło mu żółte kurczątko. Na okrzyk mera zbiegli się domownicy.

— Co to? Kto to? Skąd to?

Wnuczka mera Jeanette, delikatnie zbliżyła się do skrzydatego intruza i udało się jej go schwycić. Kurczątko miało na nóżce wstążkę z napisem: LUBLIN. Nikt nie rozumiał, co to znaczy. Ale

dziewczynka przypomniała sobie, że jej koleżanka szkolna Anielcia spodziewała się na święta swoich kuzynów z Polski, z Lublina.

— Il vient de Pologne! — zawołała.

Stary mer się uśmiechnął. — Cóż to za miłe pozdrowienie z polskiego kraju — pomyślał serdecznie. A tymczasem Jeanette wybiegła z kurczątkiem za próg, aby je pokazać sąsiadom. Na podwórku jednak wpadła na małego, błękitnookiego chłopca. Był to Władek. Dzieci się nie znały, Jeanette nie umiała po polsku, a Władek po francusku, ale dzięki kurczątku zrozumiwały się doskonale.

— Viens — powiedziała Jeanette.

— Chodź! — zawołał Władek i wziął ją za rękę. Pobiegli razem do mieszkania jego cioci. Tu Jeanette ujrzała cztery inne żółte kurczątka i piękne, kolorowe jajka na półmisku. Otworzyła oczy z zachwytem. Zaproszono ją do stołu i usiadła między Władkiem a Zosią.

Rozpoczęła się wesoła rozmowa na migi, a potem wyścig — kto więcej potrafi zjeść? Okazało się, że dzieci polskie tak samo jak i francuskie lubią objadać się słodyczami, i tak samo umieją się pośmiać i zabawić.

Wesoło minął świąteczny poranek. A kiedy pięć żółtych kurcząt zmęczonych podróżą zasnęło w kąciaku jak kłębek jasnego puchu, prawdziwa przyjaźń złączyła grupkę dzieci — te z Polski i te z Francji...

WESOŁYCH ŚWIĄT!

Wędrowało sobie słońce, wędrowało wesoło po niebie. A mała Jagusia, ta z krótkimi warkoczami, podniosła ku niemu niebieskie oczki i zapytała:

— A dokąd tak sobie wędrujesz, słońeczko, a dokąd?

— Podróżuję po całym świecie, zwiedzam wszystkie kraje...

— To i Polskę zwiedziłeś także?

— A jakże! Zwiedziłem całą, od Karpat aż do Bałtyku.

— To pewnie spotkałeś tam mego kuzynka, Franusia Pączka, który mieszka pod Krakowem?

— O, tak! Widziałem Franusia. Siedział w szkole, w dużej, jasnej klasie i się uczył.

— I co widziałeś jeszcze?

— Widziałem długie, białe szosy i błyszczące mosty. Widziałem ludne miasta i zielone wioski. Widziałem pociągi, które sunęły po szynach i statki płynące na Wiśle. I słyszałem wesoły śmiech dzieci.

— A dużo jest dzieci w Polsce?

— O, bardzo dużo. Uczą się i bawią, czytają książeczki, grają w piłkę... A wczoraj, wiesz, widziałem jak biegły do lasu po kwiaty i bazie. Zajrzałem potem do okien i ujrzałem, jak nakrywały stoły świąteczne, które w każdym domu pachniały kwieciami i świeżym ciastem...

Jagusia uśmiechnęła się i zadumała.

— A czy dziś zajrzysz tam znowu?

— Zajrzę jeszcze przed zachodem...

— Więc rzuć na te stoły kilka twych złotych promyków. I prześlij Franusiovi i wszystkim dzieciom w Polsce życzenia od dzieci z Francji — WESOŁYCH ŚWIĄT!

Jak powstały pisanki?

Czyście słyszeli, czyście widzieli, co się zdarzyło pewnej niedzieli? Nie uwierzycie, za to wam ręczę: Skradziono tęczę! Skradziono tęczę!

Jeszcze błyszczała jasno o świcie, lecz ktoś ją ukradł, ktoś ją przychwycił. A gdzie? A dokąd? Nikt nie wie wcale. Kto nam pomoże tęczę odnaleźć?

Może ją kwiaty ukryły w lesie? Może ją motyl na skrzydłach niesie? Może ją obłok biały osłonił? Lub paw rozwiesił ją swym ogonie?

Wszyscy szukali, wszyscy badali... Wtem coś błysnęło, zaśniło w dali... A co takiego? Popatrzcie sami — To tęcza wpadła w koszyk z jajkami!

Wszystkie kolory w mig się rozlały, zamigotały skorupki białe, i koszyk jajek wnet się zamienił w krople błękitu, złota, zieleni...

Różowe kropki, niebieskie kreski, czerwone listki, srebrzyste łezki — Krąglutkie jajka wokół się piętzą barwami, światłem, niebem i tęczą!...

Oto, jak w pewien marcowy ranek powstał pełniutki koszyk pisanek!...



OEUF DE PAQUES

C'est une ancienne tradition en Pologne que de décorer des oeufs pour les Fêtes de Pâques. Les oeufs peints de toutes les couleurs de l'arc-en-ciel, et ornés de motifs populaires sont une des attractions de la belle table de fête.

Les enfants polonais qui habitent la France connaissent cette coutume, et ils ont plaisir à participer et à aider à l'ornementation des oeufs.

Essayez donc de montrer à vos petits amis français comment on peint les oeufs à la polonaise. Ils seront très contents et, vite, ils viendront vous aider dans votre agréable travail.

Grâce à vous les tables polonaises et françaises seront décorées d'oeufs de Paques qui réjouiront les yeux de tous.

RZECZ NAJWAŻNIEJSZA

13

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

— To samo jest ze mną, panie Mateuszu, to samo.

— E, pani młoda. Pani może tu zostać i jeszcze długo żyć. A mnie co? Grób w Azara obok Maryjki.

— Zaraz grób. Po co takie myśli? A co wnuki? — spytała, chcąc zmienić temat. — Przyjechali tu dzisiaj z panem?

— Tak, są, umówiłem się z nimi przed kościołem. Dobre chłopaki. Żadne tam chuliganiny. Przyjemnie z nimi rozmawiać, starszych szanują. Mieli jechać na jakieś kolonie, ale powiedzieli: „Nie, jak dziadek jest z nami, to w tym roku nie pojedziemy.” Aż mnie dziwno. Dobre dzieci, dobre — powtórzył i trochę się rozpozgodził.

Rozmawiali jeszcze kilka minut. Krystyna, związana z wycieczką, nie mogła oddalać się na długo. Dała Mateuszowi swój adres warszawski, obiecała też napisać, choć właściwie wiedziała, że nie znajdzie na to czasu. Ale Mateusz prosił, by dopilnowała sprawy kupienia powrotnych biletów na statek.

— Pani tam w Warszawie jest bliżej, PLO mają swoją filię, a urzędnik w Gdyni powiedział, żeby się informować, bo z tymi statkami to nigdy nie wiadomo, kiedy odpływają. Ja zresztą wcale nie chcę myśleć, że wyjadę z Chlebnej — dodał — ale taki los. Jest wiza, wyjechać trzeba.

Krystyna uściskała Mateusza, powiedziała „do widzenia” i „adios”, ale gdy zniknął za rogiem ulicy, a ona weszła do muzeum, to „do widzenia” wydało jej się zupełnie nie-realne. Oznaczało bowiem, że za parę tygodni mają spotkać się w Gdyni, a potem na statku, który ich zawiezie do Buenos Aires.

Zatrzymała się przy jakiejś gablotce z amuletami z Afryki, ale właściwie nie patrzyła na nie. „Buenos Aires — myślała. — Tam mieszkaliśmy kilkanaście lat, tam jest mój mąż, czeka na mnie, pisał, że odnawia mieszkanie... A może mi się tylko śniło? Muszę tam wrócić, a to wszystko zostanie, stare i nowe domy, i las... Dlaczego muszę, przecież mogę tu zostać. Mateusz powiedział: «Pani może tu zostać i jeszcze długo żyć.» Mateusz tak powiedział i Konstanty. Konstanty dodał jeszcze, że jej pomoże. Ale w czym on jej mógł pomóc? «Jeśli tylko chcesz, ja ci pomogę» Pewnie, że chciała, oczywiście, że chciała, ale w słowach Konstantego mieściło się jeszcze coś innego, coś, czego ona nie miała prawa pragnąć.”

12

— Więc jaka jest właściwie odporność wybarwienia tej elany? — spytał Wojciech zbyt głośno i zbyt niecierpliwie.

— Proszę, tu jest całość projektu i wszystkie dane — podsunęła mu zszywkę Weronika. — Właściwie brakuje jeszcze wyników kąpieli barwienia, ale to nie jest sprawa zasadnicza.

— A co dla ciebie jest sprawą zasadniczą? Spojrzała nieco zdumiona. Nie wiedziała, o co właściwie pytał ją Wojciech.

— Przepraszam — rzekł ciszej i pochylił się nad próbkami.

Wyszła do hali. Niepokoiło ją czy draparki ostowe nie będą za ostre dla tkaniny na sztuczne futra, którą zaprojektowała. Te małe, śliczne szyszeczki azjatyckich ostów były tak ostre, że gdy raz przypadkiem oparła o nie rękę, zraniły ją do krwi. Więc chyba wystarczy przepuścić tkaninę tylko raz przez jeden walek, ten z prostymi rzędami.

Zbliżyła się do draparki i poleciła, aby ją zatrzymano. Pracownica, blondynka o szarych oczach, obrzuciła Weronikę szybkim spojrzeniem i uśmiechnęła się lekko. Wiedziała, jak inne, że do Weroniki wrócił po latach mąż, wiadomość szybko się rozniosła, tym bardziej że lubiano Weronikę. Ale po-

wrót męża zdawał się nie mieć na nią żadnego wpływu. Po dawnemu zjawiała się w wykończalni punktualnie o siódmej piętnaście, doglądała pracy przy każdej maszynie, potem szła do swego pokoju i tam przeglądała projekty i przeprowadzała doświadczenia w laboratorium.

— Tak — powiedziała Weronika — będziemy przepuszczać tylko raz. I stąd zaraz do gładziarki na mokro. Niech pani pamięta — uśmiechnęła się do blondynki.

Ominęła draparkę i szła środkiem długiego rzędu czesarek. Lubiła ich szum. Nie był męczący i nieprzyjemny jak w tkalni. I nie unosił się tu, jak w farbiarni, mocny zapach, podobny do zapachu chrzanu z domieszką siarki. Ilekroć Weronika wchodziła do farbiarni, po paru minutach brakło jej tchu. Patrzyła z podziwem i ze współczuciem na robotników, którzy zdawali się nie reagować na ostrość zapachu, nie kasłali, podczas gdy ją napadał zaraz kaszel i musiała pędzić do okna, by zaczerpnąć trochę świeżego powietrza.

W swojej hali czuła się dobrze. Lubiła widok kolorowych błamów wełny, obracających się na walcach, stopy tkanin ułożone jak barwne snopy w kątach. Każdy z tych barwnych snopków przechodził przez jej ręce, umiała dotykem określić rodzaj tkaniny, pamiętała kolejne fazy jej powstawania na podstawie małej kratkówki.

Projekty i kratkówki zamykały się w katalogach, Można było, zajrawszy tam, odczytywać miesiące i lata ich powstania. Było to jakby archiwum Weroniki.

Weronika zatrzymała się teraz przy szczotkarce i pogłodziła szarego kota. Był to jakiś biedny kot, który przyplątał się dość dawno do wykończalni. Najbardziej lubił siadywać przy szczotkarce, zapewne dlatego, że stąd go nie odpędzano. Wpatrywał się burymi oczami w obracające się walce, a gdy zatrzymywały się, podnosił się i okręzał maszynę.

Weronika przesunęła ręką po grzbiecie kota, potem obejrzała wyszczotkowaną już tkaninę: wszystko tu szło jak należy, można było wrócić do zaczętych badań nad barwieniem, ale z chęcią zajęłaby się jakąś inną pracą, by nie znaleźć się znów w pobliżu Wojciecha. Nie, nie dlatego, by miała sobie coś do wyrzucenia, po prostu w jakiś sposób jej przeszkadzał. „Czy dziś znów twój mąż będzie na ciebie czekał przed wyjściem?” — pytał ją na przykład z odcieniem ironii. Odpowiadała mu tak samo złośliwie: „Oczywiście, że tak.” Od paru dni bowiem Władysław przychodził po nią do zakładów i potem szli na obiad do klubu na Piotrkowską.

Pracownice wykończalni przyglądały się mu natarczywie, jakby nigdy nie widziały mężczyzny. Gdy szli ulicą, oglądały się za nim, szeptały i uśmiechały się, a Anka dosłyszała nawet kiedyś: „Eleganckiego męża ma pani Weronika.” Te szepty z początku denerwowały Weronikę, później przestała zwracać na nie uwagę. Nie mogła przecież zabrać Władysławowi, by po nią przychodził.

Gdy z daleka dostrzegła Władysława przed bramą zakładów, nie wiedziała, czy ma zwolnić, czy przyspieszyć kroku. Nie, nie było jej to niemiłe, że na nią czekał. Ale nie chciała mu tego pokazać i szła nieco wolniej, czasem nawet zatrzymywała się w portierni, patrząc, jak odbywa się lotna kontrola, dopiero potem wychodziła udając, że go nie widzi.

Władysław był naprawdę elegancki, to rzucalo się w oczy. Lecz nie była to tylko kwestia ubioru. — Władysław miał ujmujący sposób bycia. Gdy witał się z Weroniką, całował ją w rękę, w Klubie podsuwał szybko krzesło, by zaraz mogła usiąść i odpocząć, otaczał ją niezliczoną ilością drobnych grzeczności, od których właściwie odwykła. Mię-

dzy sposobem bycia Władysława i jej kolegów czy znajomych istniała wielka różnica. Może było tak dlatego, że Władysław okazywał jej szczególną uwagę i troskliwość, a może po prostu tam, za granicą, mężczyźni otaczali kobiety specjalną czułością i opieką. Kobiety w Polsce usamodzielniały się, wyemancypowały, nie uświadamiając sobie nawet, że właściwie dużo na tym tracą, bo równouprawnienie sprawiało, iż żaden z mężczyzn nie patrzył na kobietę jak na „słabą pleć”. Wszelkie należne jej kiedyś względy zdawały się zanikać.

Siedząc w klubie Weronika czuła się dobrze. Władysław stawał się z dnia na dzień człowiekiem coraz jej bliższym, odnajdywała w nim dawnego męża, którego kochała, gdy sama była tak jak on młoda. Ale leżało jeszcze między nimi wiele niewyjaśnionych spraw, nie mówiąc już o zasadniczej, to znaczy o wyjeździe do Argentyny. Nie chciała o nim słyszeć, nie wchodził on w ogóle w rachubę. Ilekroć Władysław rozpoczynał na ten temat rozmowę, udawała, że nie rozumie o co chodzi, czuła jednak, że kiedyś będzie musiała szczerze i otwarcie o swojej decyzji powiedzieć.

Tak samo przykra była sprawa domu w Carlos Paz pod Kordobą, który Władysław zbudował dla Weroniki. Któregoś dnia pokazał jej zdjęcie i, chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że był to piękny dom. Nowoczesna willa miała podmurówkę z ciosanych kamieni, a wzdłuż frontonu biegł napis „Weronika”, który naprawdę ją wzruszył. Sprawa domu nie mogła być jej obojętna. Władysław budując go myślał o niej, teraz przekonywała się, że przez wszystkie te lata pozostał wierny temu, co ich związało.

„Co zrobić z domem? — myślała. — Gdyby taki dom mieć tutaj, w Łodzi, na przykład na Stokach, tam pod laskiem albo na Telefonicznej, gdzie rośnie żyto... Trudno, nie można mieć wszystkiego naraz” — starała się pocieszyć, wywołując w pamięci halę ze spokojnym szumem maszyn, stopy tkanin i katalogi projektów, w których zamykał się czas i jej życie.

Władysław szybko zdał sobie sprawę, w jakim stopniu Weronika jest przywiązana do swej pracy, toteż zaprzestał przekonywać ją argumentami w rodzaju: „W Carlos Paz nie potrzebowałabyś nic robić, zajęłabyś się tylko domem i ogrodem.” Rozumiał teraz, że nie wolno mu było tego mówić. Kiedyś rzucił niby od niechcenia:

— Nasz dom ma trzy pokoje i hall, tam nie będzie tak ciasno jak w twojej kawalerce.

Udała, że nie słyszy. Dopiero po jakimś czasie powiedziała, że właściwie można kupić mieszkanie spółdzielcze albo własnościowe, gdzie metraż nie jest ograniczony i gdzie nie jest tak ciasno. Z kolei on udawał, że nie słyszy, potem — próbował z nią się spierać. Już sam ten fakt sprawiał Władysławowi radość.

Bo w pierwszych tygodniach, kiedy jeszcze mieszkał w hotelu, bał się, że nie będzie chciała w ogóle na ten temat z nimi rozmawiać. Chwila, w której pozwoliła mu przyjąć do swej kawalerki, była najszczęśliwszą, jaką przeżył w Łodzi.

Zegnali się przed hotelem i Weronika patrząc w bok powiedziała:

— Jest jeszcze wcześniej, możemy się przejść, odprowadzisz mnie do domu.

Trzymali się za ręce i Władysław poczuł, że jej dłoń lekko drgnęła. Był to prawie niezauważalny odruch, ale on właśnie powiedział mu wszystko, czego Władysław pragnął.

Następnego dnia przeniósł walizki do pokoju Weroniki i zamieszkali razem. Wprawdzie twierdziła, że wersalka jest za ciasna na dwoje i Władysław musi zadowolić się połowym łóżkiem, ale było to już tak dużo — słyszeć w ciemności oddech Weroniki, mówić jej „dzień dobry” i móc podać jej do łóżka śniadanie. Weronika mówiła przekornie: — Rozpieszczasz mnie, Władysław.

Odwykła od takiej troskliwości, a właściwie nigdy do niej nie była przyzwyczajona. Zdarzało się też czasem, że gdy już była w pracy, przychodziło jej na myśl, że Władysław swoją troskliwością chce ją zjednać dla swych zamiarów.

(d.c.n.)

Jadwiga Dackiewicz

„W romantycznym Paryżu”



OD REDAKCJI: Wydawałoby się, że o Paryżu wszystko już napisano. Nie ma na świecie dru-

giego miasta, któremu by poświęcono tyle książek, opisów, wspomnień. I wciąż dochodzą nowe. Niepowtarzalny klimat Paryża sprawia, że każdy znajduje tu coś bliskiego swemu sercu. Dla Polaków jest Paryż miastem związanym z życiem, twórczością i działalnością wielu najwybitniejszych przedstawicieli naszego narodu. Nic dziwnego, że polska literatura raz po raz zostaje wzbogacona nową pozycją o Paryżu.

Specyficzną atmosferę miasta, jego klimat, dziewiętnastowieczny literacki świat i życie luminarzy polskiej emigracji z wielką znajomością i sympatią odtworzyła ostatnio znana tłumaczka poezji i literatury francuskiej p. Jadwiga DACKIEWICZ. Jej ciekawa i urocza książka nosi tytuł: „W ROMANTYCZNYM PARYŻU”.

Z każdej strony przebiega wielka miłość pisarki do literatury francuskiej. Autorka twierdzi, że najbliższą jej sercu jest poezja starofrancuska, od której zrobiła uczuciowy skok ku romantyzmowi. Szczególną sympatią darzy Musseta. Poświęciła mu zresztą poprzednią swoją książkę pt. „Odmiany miłości”. I starofrancuska poezja została przez p. Dackiewicz przetłumaczona na język polski. Był to bardzo przychylnie przyjęty w Kraju tom pt. „Pieśni” Marie de France.

Związki autorki z literaturą francuską nie są przypadkowe. Jej prapradziad był oficerem wojsk napoleońskich. Wychowała się w sympatii do Francji i dość wcześnie zapoznała się z jej literaturą.

Obecnie ta utalentowana pisarka na zamówienie krajowego wydawnictwa „Czytelnik” pracuje nad książką „Czartoryscy w Paryżu”. Polsko-francuskie stosunki kulturalne — zdaniem p. Dackiewicz — są niewyczerpaną skarbnicą tematów dla literackich studiów i prac. Jadwiga Dackiewicz przytacza tu przykład Andrzeja Morsztyna, który był pierwszym, i to wspólnym tłumaczem „Cyda” i który zaszczylił na terenie Polski kulturę francuską, o czym dzisiaj wie niewiele osób. Córka Morsztyna pierwsza zaprowadziła w Polsce salon literacki, w którym zwyczajem ówczesnych salonów francuskich kobiety mogły zabierać głos.

Oprócz rodziny Czartoryskich, której związki z Francją opisuje autorka w książce przygotowywanej obecnie, jest i inny pasjonujący ją temat. Chciałaby przedstawić wszystkie kobiety, które w Paryżu, w czasie Wielkiej Emigracji, pisały po polsku. A było ich sporo. Wymieńmy chociażby panię Lempicką i Zofię Rosengartówną, które wywodzą się ze środowiska bliskiego Chopinowi, Czartoryskim, Norwidowi. Może to nie są sprawy ściśle literackie, ale bardzo ciekawe, pełne realiów dotyczących tej epoki.

Poniżej publikujemy szkic o Chopinie stanowiący fragment książki p. Jadwigi Dackiewicz pt. „W romantycznym Paryżu”.

(kr.)

KONCERT na QUAI D'ORLEANS

Przyjaciel pytał:
— Cóż taki zadyszany?
— Grałem...
— Przecie wiem, że wracasz z lekcji. Cóż to za tomisko?
— „Fidelio” Beethovena. Wyciąg fortepianowy.
— Fiu! A skądże wziął pieniądze?
Wargi Karola drżały:

— Chopin kupił dla mnie. Powiedział, że grałem dziś wyjątkowo lekko, a potem, po lekcji, zaprowadził mnie do składu nut Schlesingera. Powiedział: „Masz naturę artysty. Będiesz wielkim artystą, Filtsch”.

— Tylko nie bec.
— Nie. On powiedział: „Nie znoszę sentymentalizmu, Filtsch. To tanie”.

— A cóż grał?
— Dziś jego koncert f-moll. Zacząłem pierwszą część. Był zdziwiony. Ale pozwolił ćwiczyć dalej. Jutro mam zacząć finale.

— Podobno ostatnio grał to Liszt w sali Pleyela. Filtsch położył książkę na stole, przypadł do starego pianina, stojącego we wnęce, siadł przy nim, otworzył wieko. Oczy mu zabłyśły.

— Liszt nie wart mu butów zawiązać, sam to przyznał, wiesz? Błękitnego tonu nie znajdzie.

— Błękitnego tonu?

— Tak. — Oczy Filtscha błyszczały. — Chopin każe szukać błękitnego tonu, Wiliamie. Ideal, pojmujesz? Ideal muzyki. Błękitny ton. — Uderzył w klawisz i zadumał się przez chwilę. — Dziś wydadę koncert u pani Marliani, taki mały, prywatny koncert, na Quai d'Orléans. Dopiero co się tam wprowadził. — Począł teraz przegrywać nie dbale pasażę jedną ręką. — Tam obok i pani Sand mieszka, w pawilonie pod piętym. Chopin wynajął salon i sypialnię, na parterze pod dziewiątym — tłumaczył dalej — a pomiędzy nimi, pod siódmym, mieszka pani Marliani. Stołuje ich oboje. I tam dziś będzie grał. Pani Viardot ma śpiewać. Wiesz — szepnął po chwili — dziś weszła do pokoju pani Sand, a był już Liszt i Delacroix.

— No i?

— Jak skończyłem grać, pocałowała mnie, a Liszt powiedział: „Kiedy ten mały zacznie turę koncertową, ja zamknę swój sklepik”. Ale Chopin chwali mnie rzadko. Jan częściej.

— Jan?
— Jego służący, Polak. Bardzo śmiesznie mówi po francusku.

Jan powłócił się do drzwi, zwabiony dzwonkiem. Wielkie było jego zdziwienie, gdy ujrzał swego pana. Miał przecie cały wieczór spędzić poza domem, koncertując. Chopin, w narzuconym na ramiona płaszczu, minął szybko przedpokój i wszedł do salonu. Rzuciwszy płaszcz na jeden z foteli, zapalił świecę w lichtarzu, podszedł do biurka i począł gwałtownie przerzucać papiery. Szukał czegoś. Na próżno. Rozejrzawszy się zatrzymał wzrok na małym stoliku, stojącym blisko okna. Zauważył przy tym, że Jan zapomniiał spuścić roletę, i w tejże chwili dostrzegł za szybą czyjeś błyszczące oczy. Otworzył okno.

— Filtsch! — zawołał. — Co tu robisz o tej porze?

Chłopak śmiał się, szczęśliwy, że go dostrzeżono. — Chodź no tu, pomożesz mi, nie mogę znaleźć nut. Czekają tam na mnie u pani Marliani. Chodź prędko.

Chopin zauważył, że Jan pragnie mu coś powiedzieć, i to już od chwili, gdy tylko wszedł do mieszkania. Ale teraz naprawdę nie miał na nic czasu. Sam otworzył chłopcu i po chwili weszli do salonu obaj.

— Mistrzu... — zaczął Filtsch.
— Przystań. Wiesz, że tego nie lubię. Czego chcesz?

— Ja... jutro nie mogę przyjść na lekcję.

— Nonsense. Spróbuj tylko.

— Nie mogę — łamał mu się głos.

Fryderyk zaszepił się.

— Musisz przyjść. Wiesz, że zaczynamy finale.

— Wiem. Ale nie mogę. Dostałem list, każą mi wyjechać na jeden dzień do Aix. — I spuścił głowę w sposób niezaprzeczalnie dramatyczny.

Chopin popatrzył chwilę na zwisający kosmyk czarnej czupryny chłopaka. Poklepał go po ramieniu.

— Nie martw się. Odbijemy sobie potem. Pamiętaj ćwiczyć na raz tylko jedno solo, każde pojedyncze solo stanowi o całości.

— Mam jedną wątpliwość — wyjąkał Filtsch.

— Ja więcej — roześmiał się Chopin.

— Nie wiem — Filtsch podnosił nieśmiało oczy — nie wiem, jak ćwiczyć cadenzę na końcu pierwszej części.

— Chodź.

Podszedł do fortepianu stojącego obok małego pianina. Chopin odsunął aksamitną kape, haftowaną specjalnie dla niego przez markizę de Perthuis, otworzył wieko, zdjął z kominka metronom, postawił go na instrumencie.

— Pamiętaj przede wszystkim uważać na rubato — mruknął. — Wszyscy krzyczą, że to moje ulubienie, ale ja rubato nie kocham. Jak w nim przesadzisz, to tak, jakbyś się przejrzał w krzywym zwierciadle. — Każda przesada to prostactwo i coś strasznie baroque. Widziałeś drzewo? Wiatr gra w liściach, ożywia je, ale drzewo pozostaje drzewem. Liszt powiada, że takie jest moje rubato. Może i ma rację. — Zwichrzył lekko palcami czuprynę chłopca. — No, allons, allons.

Filtsch siadł przy fortepianie. Czuł się niepewnie, jak zwykle na początku lekcji, wiedział, że mistrz połamał kiedyś trzcinowe krzesło, zgniewany na ucznia. Chopin nastawił metronom i oparł się plecami o kominek. Lubiał opierać się o kominek. Chował wtedy głowę w ramiona, które prostował sztywno, jakby był w wojskowym mundurze. Taką miał postawę jego ojciec, tak trzymało się wielu emigrantów, paradykujących po Paryżu w przybrudzonych rogatywkach.

Rozległ się początek koncertu. Uczeń przebywał teraz w świecie doznań niereczywistych. Nauczyciel ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma obserwował go bacznie, łowiąc skrupulatnie uchem każde dotknięcie klawisza. „Lekko, lekko” — powtarzał niekiedy niecierpliwie, niekiedy nieznacznie się usmiechał. Kiedy Filtsch począł unosić się duchem nazbyt wysoko — jak się zdawało mistrzowi — karcił go kąśliwym: „Siada, siada!” W pewnej chwili krzyknął. Filtsch natychmiast przerwał grę, stropiony wielce. Fryderyk począł chodzić po pokoju, wymachiwać rękami.

— Straszne! — wołał. — No, straszne! Nie umiesz powiązać dwóch nut! Dwóch nut nie umiesz ze sobą połączyć. Filtsch! I to tu, akurat w tej frazie! Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy — frazować! To, co robisz, to kompletny bełkot, to tak, jakbyś mówił coś w języku, którego nie znasz.

Odsunął lekko chłopca, sam siadł na jego miejscu. Popatrzył w górę, wziął akord, który rozprysnął się następnie w arpeggiach, i nagle klawisze umilkły.

— Rysa — szepnął — rysa na suficie... Gdybym zobaczył jeszcze jedną, nie mógłbym już dzisiaj grać — dodał ciszej. Nie zdejmując rąk z klawiatury, wpatrzył się w nią pilnie, starał się opanować jak najszybciej, skupiony, walczył ze sobą mozołnie i uparcie; wreszcie rysy mu zlagodniały, przegrał kilka akordów i uśmiechnął się do Filtscha z wysiłkiem. — O, to jest to, pojmujesz?

Chłopak przyświadczył żarliwie.
— I pamiętaj, forte musi być zawsze krótkie, jak piorun, najwyżej jak głos pogromu.

— A z ritardando — ciągnął dalej — to podobnie jak z rubato. Też z przesadą nie wolno nigdy. No, przegraj jeszcze tę ostatnią codę. I pamiętaj — zatrzymaj w górze rękę Filtscha, gdy ta miała już spaść na klawiaturę — pamiętaj, prostota to szczyt sztuki. Kto chce od razu do niej dojść, nigdy mu się nie uda. Nie można zaczynać od końca. Niczego nie można zaczynać od końca, choć nieraz i żal. Gdyby tak życie...

Filtsch chciał wreszcie zacząć grać, gdy za drzwiami rozległo się donośne kasłanie. Chopin zmarszczył brwi, po chwili zawołał głośno:

— Janie! Co się tam stało?

Drzwi otworzyły się natychmiast, jak gdyby tylko na to oczekiwano. W progu ukazała się chuda postać w długiej bekieszki. Jan dla kurażu wycierał nos w ogromną chustkę. W rękę trzymał spory pakiet.

— Proszę jaśnie pana, listy dziś rano przyszły. Z Polski! Czy można podać?

— Dopiero teraz! Ach, safandulo, ach, fujaro! — Chopin w jednej chwili znalazł się przy służącym, wyrwał mu pocztę z rąk. Ze wzrokiem roziskrzonym radością, tulił zdobycę do serca, padł na fotel i począł łamać lakowe pieczęcie. — Od ojca! — zawołał. — Od ojca! — Rumienieć zabarwiły mu policzki, włosy starannie odczesane w tył głowy, opadły mu na twarz ciemną falą. Czytał. Jan zapaliwszy kilka świec stojących w srebrnych lichtarzach postawił je wszystkie na fortepianie.

Pan tak lubi — mruknął do Filtscha, zasunął story i wyszedł.

Karol siedział jak skamieniały, chciało mu się płakać. Chopin, pogrążony w lekturze, milczał przez pewien czas, potem powtarzał z cicha słowa listu, wreszcie przeczytał głośno: „Wychodzę z domu bardzo rzadko, najwyżej do naszego ogródka; mieliśmy w nim różne gatunki owoców, między innymi było kilka gron winnych, które sam pielęgnowałem i które doskonale dojrzały. To mi przypomnielo piękny okres winobrania...”

Odrzucił głowę na oparcie fotela, przymknął oczy. Milczenie zaległo pokój.

— Jak wiesz, ojciec mój pochodzi z Francji — szepnął po chwili. — Dziad uprawiał winnice w Marainville, we Franche-Comté. Mój dziad. Dziwne, nigdy nie zatęskniłem do Franche-Comté.

Płomyki świec w lichtarzach tańczyły na fortepianie, czarna lustrzana tafla zwielokrotniała ich blaski. Chwilami słychać było spadające kropelki stearny i syk płomienia. Filtsch chłonał skwapliwie każde słowo Fryderyka. Zapomniał całkowicie o problemach, dotyczących interpretacji koncertu. Wydawało mu się, że widzi swego nauczyciela po raz pierwszy, choć nie po raz pierwszy odkrywał on przed nim sekrety swych utajonych doznań.

— Franche-Comté — powtórzył Filtsch — a ja myślałem...

Chopin uśmiechnął się łagodnie.

— Winnice — szepnął. — To musi ładnie wyglądać w słońcu. W Nohant tego nie widziałem. Tam beryczycy nie sadzą winogrodu za wiele. Franche-Comté. Francja.

Podniósł się wolno z fotela, podszedł do okrągłego stolika, na którym stała złota filiżanka i złoty kubek.

— Dziwne — powiedział cicho, stawiając sobie filiżankę na dłoń. — Dostałem to w St.-Cloud od króla Ludwika Filipa. Mojego króla? — Wydawał się nieco ubawiony. Ważył na dłoni filiżankę. — Przyjechał wtedy po mnie hrabia de Perthuis, adiutant królewski, pojechaliśmy karetą. Lato jak z cebra. „Czemu pan nie pisze opery?” — pytał po drodze. — Męczył mnie jak Elsner, jak Witwicki, jak Mickiewicz. A potem grałem — wśród pań, jako zwykle. Była królowa Amelia, księżna Orléanu i damy dworu. Wszystkie robiły na drutach. Obląkała mania te druty. Zanim poczęstowano mnie chłodnikiem — grałem.

(Dokończenie w następnym numerze)

ODZIEŻ GEORGES PAUL

ZAWSZE

NAJLEPSZY WYBÓR — GATUNEK

ZAWSZE

NAJNIŻSZE CENY

5, rue du Quesnoy, 5
VALENCIENNESSt. AMAND — CONDE s/ESCAUT — BRUAY-en-ARTOIS
MAUBEUGE — LE QUESNOY

Rady od serca

DROGA PANI ANNO!

Mam przyjaciółkę, która trzy lata temu wyszła za mąż z wielkiej miłości. Jej mąż stale mówił o swym uczuciu i dziś w jej obecności deklaruje swą miłość. Nie przeszkadza mu to jednak zalecać się do mnie. Twierdzi, że mu się podobam, że jestem młoda, oryginalna.

Mnie jest przykro, szczególnie kiedy przyjaciółka w mojej i w jego obecności szczyty się swym szczęściem i „kochającym mężem”.

Zaczęłam unikać jej, a wobec jej męża zachowuję dystans i traktuję go ozięble. Zaznaczam, że przed paroma laty straciłam męża, nie mam dzieci ani rodziny i dom mojej przyjaciółki był dla mnie zawsze najmiłszym schronieniem.

Czekam na pani radę, bo nie wiem jak postępować.

KRYSTYNA

DROGA PANI!

Zdarza się niestety nazbyt często, że mężczyźni, nawet ci zakochani w swoich żonach i szczęśliwi, próbują, gdy tylko mają okazję, nawiązywać flirt z innymi kobietami.

Nazwałabym to rodzajem choroby, taka męska słabość, która wynika często z chęci potwierdzenia swojej męskości i udowodnienia przed samym sobą, że ma się powodzenie u kobiet. Kobiety, niestety, biorą to czasem na serio i odwzajemniają uczuciem, albo decydują się po prostu na przygodę. Jeśli kobieta potrafi odpowiedzieć nie — wtedy zwycięża.

W pani przypadku nie potrzeba rezygnować z przyjaźni, zrywać z tym domem, w którym czuła się pani dobrze. Trzeba natomiast stanowczo dać do zrozumienia temu panu, żeby na nic nie liczył. Można to zrobić w formie żartobliwej, można — w poważnej. W każdym razie w ten sposób, by ochłodzić jego zapędy. Zaręczam pani, że to wcale nie takie trudne. Podejrzewam, przeproszam jeśli to panią urazi, że nie dała pani dotychczas stanowczej odpowiadania temu mężczyźnie. Próbuje więc dalej swoich sił.

Jestem przekonana, że gdy ta sprawa zniknie, wrócą dobre, przyjazne stosunki między wami. Oczywiście, tego chyba nie muszą dodawać, niech pani pod żadnym pozorem nie mówi swojej przyjaciółce o nieudanych zalotach jej męża. Po co ją martwić?

ANNA

KOCHANA PANI ANNO!

Mam 37 lat, czyli jestem tzw. starą panną. Pomimo to nie posiadam żadnych przykrych cech staropanieństwa. Przeciwnie. Jestem pogodna,

dobrze ubrana, dbam o siebie. Jestem uczynna i wszyscy mnie lubią.

Ale od pewnego czasu sytuacja się zmieniła. Tu gdzie pracuję, zaczęto mnie bojkotować. Nikt się do mnie nie odzywa, urwały się wszystkie kontakty towarzyskie. Wie pani o co poszło? O to, że dwóch panów pragnie mnie poślubić, a ja nie chcę żadnego z nich na męża. Trzeba dodać, że obaj pracują razem ze mną. Więc wszyscy inni solidarnie mają mi to za złe.

A moja sytuacja jest trudna. Nie mogę wybrać spośród tych dwóch kandydatów. Jeden ma lat 47, ale usposobienie zupełnie inne niż ja. Żadnych wspólnych zainteresowań. Książek nie czyta, nie uznaje teatru ani kina. Po prostu mnie nudzi.

Drugi pan odpowiadałby mi całkowicie, gdyby nie to, że ma już 62 lata.

Koledzy twierdzą, że już czas najwyższy, bym wyszła za mąż i przestała grymasić. Ja też tak myślę, ale przecież nie mogę wyjść za mąż za wszelką cenę.

STAŁA CZYTELNICZKA

SZANOWNA PANI!

Trzeba to wszystko potraktować na wesoło. Zebrać wszystkich kolegów i koleżanki, wraz z kandydatami do pani ręki, i oświadczyć im, że postanowiła pani na razie nie wychodzić za mąż, że prosi pani o wybaczenie — to oczywiście na żarty — i o cierpliwość i że tak ich pani kocha wszystkich razem, że nie może się zdecydować na wybranie jednego.

Co do samej sprawy, to oczywiście pani ma rację. Nie można zdecydować się na ten krok, jeśli kandydat nie budzi żadnych uczuć. Lepiej żyć samotnie, niż męczyć się we dwójkę.

ANNA

BABKA z RODZYNKAMI

— Pamiętasz — powiedział do mnie mój mąż — że w ubiegłym roku byliśmy zaproszeni na święta wielkanocne do Łypciakowskich?

— Pamiętam.

— A przypominasz sobie to wspaniałe przyjęcie, jakie dla nas urządzili?

— Przypominam sobie.

— W tym roku my ich musimy do siebie zaprosić. I tak samo jak oni się postawić.

— Bardzo chętnie. Ale to drogo wypadnie. Musisz sięgnąć głęboko do kieszeni.

(Tego on naturalnie nie lubi i zapadł jego od razu opadł.)

— Moja kochana, jako dobra gospodyni potrafisz sobie oszczędnie poradzić.

— Ale jak? Przede wszystkim trzeba kupić całą szynkę...

— Po co od razu aż cała szynka? Może by tak salcesonik?

— Musi być pieczeń cielęca.

— O, z pieczeniem to już przesadzasz...

— W takim razie koniecznie jakiś pieczony drób.

— No wiesz! A gdyby tak funkcik kiełbasy?

— To nie jest żadne przyjęcie kiełbasa z salcesonem.

— W takim razie zaprosimy ich tylko na popołudniową herbatę ze świątecznymi przysmakami.

— Proszę bardzo. Upiekę przekładaniec, tort i babkę...

— Wszystko naraz? Przekładaniec nie trzeba. Jest ciężko strawny. Ale tort, owszem. Byleby tylko był równie smaczny, jak ten u Łypciakowskich.

— W takim razie potrzeba mi będzie do niego pół kilo orzechów.

— Zamiast orzechów dasz tartą bułeczkę, jak to zwykle robisz.

— I pół kilo czekolady...

— Czekoladę może ci zastąpić kakao.

— I flaszeczkę rumu...

— Bez rumu można się obejść.

— W takim razie nie będzie taki smaczny, jak u Łypciakowskiej.

— No, jeśli nie umiesz tak dobrze piec jak ona, to zrób chociaż dobrą babkę.

— Z dwunastu jajek?

— Od razu dwanaście! Masz manię wielkości.

— Ale funt masła muszę mieć.

— Margaryna jest zdrowsza do pieczenia.

— Więc zrezygnować z rodzyneków?



— O, nie! Rodzynki muszą być. Niech widzą, że się nie żałuje. A więc liczę na ciebie, że przyjęcie będzie jak się patrzy. Aby potem nie mówiono, że Łypciakowska jest lepszą gospodynią od ciebie.

To mówiąc i nie słuchając moich zdenerwowanych sprzeciwów, mój mąż podszedł do telefonu i zadzwonił do Łypciakowskich.

— ...Halo? Kochani, w związku ze zbliżającymi się świętami... Tak, tak... Chcielibyśmy was zaprosić... Co? Nie możecie? Przyjeżdżają do was goście z Polski? Aha... Abyśmy przyszli do was? Nie wiem, co moja żona na to. Ona właśnie na waszą cześć zajęta jest gotowaniem szynki, i pitraszeniem cielęciny i drobiu... tak, tak... W tej chwili właśnie dogląda w kuchni tortu i przekładaniec. Ale trudno, jeśli nie możecie inaczej, to będziemy u was w pierwszym dniu świąt.

Mąż mój z triumfem odłożył słuchawkę.

— Widzisz? Mieliliśmy gest, chcieliśmy się zrewanżować, Łypciakowscy są wzruszeni i teraz z czystym sumieniem możemy iść do nich na przyjęcie.

Ja byłam też bardzo rada z tego rozwiązania. Przynajmniej się nie skompromituje.

U Łypciakowskich obiad świąteczny był wysmienity. Czułam się doprawdy szczęśliwa, aż do momentu, gdy miła gospodyni domu powiedziała do mnie serdecznie.

— Wiesz, moja kochana, mąż twój nam opowiadał, jak ty się biedactwo zamęczałaś przygotowaniami świątecznymi. Postanowiliśmy nie zrobić wam zawodu i jutro będziemy dalej świętować u was!...

Omiał się nie udławiłam ostatnim kęsem przekładaniec. I co ja teraz zrobię? Mam w domu tylko pół chudej babki z rodzynekami...

MICHALINKA



Kącik mody

Wiosenne pokazy mody damskiej potwierdziły tendencje, jakie narodziły się w roku ubiegłym. Dyktatorzy mody chociaż wystąpili z wieloma nowościami, nie wprowadzili żadnych rewolucyjnych zmian. Nadal królują krótkie mini-robos od 7 do 12 centymetrów ponad kolana. Uzupełniają je w niektórych kolekcjach króciutkie spodnie i spódniczki-spodnie rozszerzone ku dołowi. Na zdjęciu pierwszym z lewej: krótka robe-pantalon (Serge Lepage).

Coraz większą popularność zdobywają stroje przypominające piżamy. Spodniom wróży się dużą przyszłość. Stanowią jakby kontrpropozycję w stosunku do spódniczek sięgających do połowy uda. Na zdjęciu obok jedna z propozycji Carvena — piżama z wzorzystego jedwabiu.

Niecodzienna w dzisiejszej modzie nazwać można suknię (na zdjęciu z prawej) z układanych w fałdy falban, które przypominają łuskę.





Pani Aniela Bakowa (pierwsza od lewej) i pani Stanisława Szajnowa są siostrami i pochodzą ze wsi Siedliska na Rzeszowszczyźnie. Obie wraz z mężami mieszkają w Troyes, obie lubią wspominać rodzinne strony, ich dawne oraz obecne smutki i radości

Z lewej poniżej: dwaj szwagrowie — Bolesław Bak i Władysław Szajna (z prawej) podczas tradycyjnej rodzinnej pogawędki przy kawie. Ież to już lat mieszkają we Francji, ile w tym czasie nagromadziło się wspomnień o złych i dobrych latach



Zdjęcia:
Władysław SŁAWNY

Przez cały tydzień w zakładzie rzeźniczym Seweryna Luczkiewiczza (na zdjęciu z prawej) trwa gorączkowa praca. Nabywców polskiej paszтетówki, kiełbasy krakowskiej, salcesonu i innych specjalów jest tu zawsze wielu. Lubią i cenią smaczne wędliny



NIEDZIELNA WIZYTA

W SRÓD CIASNYCH ULICZEK starego miasta czy też wysokich domów nowych osiedli nie ma takiego ruchu jak zwykle, w tygodniu. Sklepy pozamykane, pustawo. Z rana przed kościołem trochę ludzi, późniejszą porą grupki spacerowiczów, liczne samochody z rejestracją paryską, czy pobliskich departamentów, mniej zaś z Troyes. Mieszkańcy Troyes odpoczywają w niedzielę w swych domach. Wśród nich wielu Polaków, osiadłych tu od dziesiątków lat — a więc starych obywateli miasta. Po pracowitym tygodniu zasiadają do niedzielnego obiadu, rozpoczynając go tutejszym, francuskim zwyczajem od aperitif. Potem posiedzą przed telewizorem czy też odwiedzą krewnych, znajomych.

Przywykli do pracowitego tygodnia, do tych spokojnych niedziel, aperitifów, kawy... Między polskie słowa cisną im się na usta francuskie, te, które słyszą tu wokół siebie codziennie. Przywykli do tego miasta, pokochali je, choć na dzień serca pozostała wielka miłość do stron, w których się urodzili, w których wyrosli, do rzeszowskich i poznańskich wsi, pomorskich czy kieleckich miasteczek, do Polski.

Chętnie tam jeżdżą, odwiedzają krewnych i ze zdumieniem spostrzegają, że i tu czas nie stanął

Panu Sewerynowi Luczkiewiczowi pomaga dzielnie żona pani Felicja (z prawej) i syn Mieczysław. Dom rodzinny państwa Luczkiewiczów promienieje polskością. Podczas okupacji niemieckiej dom ten był schronieniem i oparciem dla uciekinierów i żołnierzy Ruchu Oporu. Dziś kultywuje tradycje polskie

w miejscu, że ich rodzinne strony zmieniły się „wyrosły”, że tam, gdzie kiedyś był las, było pole, dziś jest szkoła, są domy, nowe fabryki. Cieszą się z tego tutaj, w Troyes i chętnie o tych sprawach mówią. Wspominają przy tym własne koleje losu, swoją pracę, którą zdobyli dzisiejszą egzystencję, wszystkie kolejne lata swego pobytu w Troyes. Jakże one były? Trudne, pracowite. Przynosiły troski i smutki, którym dzielnie stawiali czoła, oraz zwykłe, ludzkie radości.

Odwiedzmy niektóre rodziny polskiego pochodzenia w Troyes i porozmawiajmy o tych sprawach z okazji niedzielnej wizyty.

Z RZESZOWSKICH STRON...

Tradycyjnym zwyczajem państwo Szajnowie czekali z kawą na szwagrow. Aniela i Bolesław BAKOWIE już powinni być. Przecież mówili, że będą o czwartej.

Oto i oni. Serdecznie witani, zasiedli za stołem. — Jak zdrowie? Praca skończona? Spokojnie tu dzisiaj...

Pierwsze pytania, stwierdzenia, są takie same, jak u wszystkich bliskich sobie ludzi. Aniela BAKOWA i Stanisława SZAJNOWA — to przecież siostry. Pochodzą ze wsi rzeszowskiej i po sąsiedz-

ku, tam jeszcze, w Siedliskach, obydwie znają Władysława Szajnę. Dziś p. Władysław Szajna jest dozorcą w jednej z fabryk dziewiarskich Troyes i mieszka w conciergerie na terenie fabryki. Czysto tu i schludnie wokoło, w domu dostatnio. Żona też pracuje w fabryce. Są tu zadowoleni, urzędzeni.

— Pierwsze lata we Francji nie były łatwe — mówi Władysław SZAJNA. — Ale była tutaj praca. W Rzeszowskiem w tym czasie nie było dla takich jak ja pracy. Od 1928 roku już mieszkam w Troyes, tu z żoną braliśmy ślub. Tu żona przeżyła wojnę... Ja byłem w wojsku — w Coëtquidan. W Besançon dostałem się do niewoli. Do Troyes wróciłem dopiero w 1945 roku...

— I żona, i ja dużo pracowaliśmy i do dziś pracujemy — ciągnie p. Szajna. — A młodzi, którzy tu, do Francji, przyjeżdżają dziś z Polski, uważają się za mądrych, wykształconych i twierdzą, że niepotrzebnie tyle pracowaliśmy i pracujemy... Oni nie chcą tak dużo pracować... Ale co oni wiedzą o naszych początkach we Francji, o czasach, kiedy w Polsce dla nas nie było chleba...

— Tak — podchwytuje p. Aniela BAKOWA. — Ani chleba, ani ziemi wtedy nie było. Nasz ojciec — mój i Stasi (p. Szajnowej), dwa lata pracował w Ameryce, żeby kupić na Rzeszowszczyźnie jedną morgę ziemi! Pojechał potem drugi raz, bo i domek dla licznej rodziny trzeba było jako tako wykończyć. Podobnie jak całe prawie rodzeństwo podpisaliśmy z siostrą kontrakt do Francji.

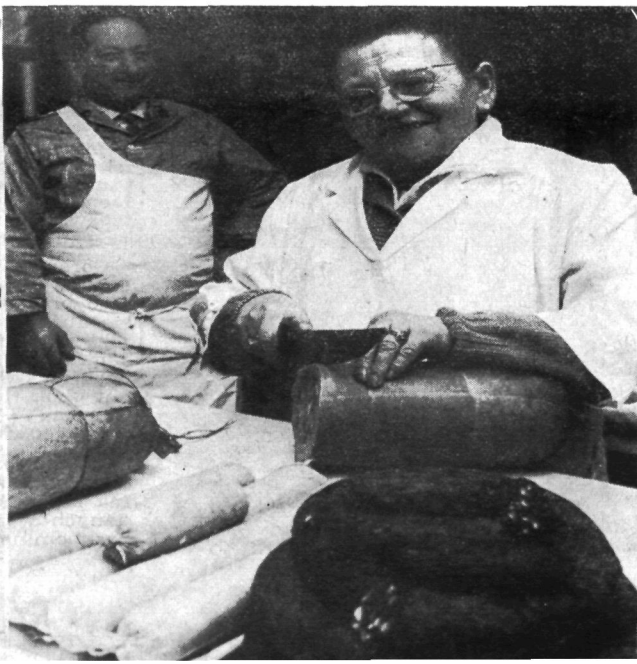
Starsza siostra i brat już wtedy byli we Francji... Wszyscy potem powrócili do Polski. Tylko pani Aniela z siostrą zostały z mężami we Francji. Ojciec już nie żyje, ale u najmłodszej siostry w Przemysłu żyje jeszcze matka. A brat, który posiada dziś dwa hektary, donosił ostatnio, że pobudował się już i rozbiera domek, który postawił ojciec...

Aniela Bakowa, podobnie jak jej mąż Bolesław Bak, są już „na rencie”. Pani Bakowa znana jest ze swej pracy społecznej w Towarzystwie Pomocy Oświatowej, w Stowarzyszeniu Obrony Granic na Odrze i Nysie. Ostatnio w Konsulacie Polskim została za swą działalność w „Odrze-Nysie” odznaczona Odznaką Tyśiąclecia Państwa Polskiego.

Jak nieraz już było przy takiej świątecznej kawie, p. Bolesław BAK wraca do swych przeżyć, a gdy sięga pamięcią do trudnego okresu swej młodości, jeszcze dziś robi mu się gorzko na sercu.

Pieszko wyszedł Bolesław Bak ze wsi kieleckiej, by na ochotnika zgłosić się do wojska, bo takie tylko widział dla siebie wyjście. Potem przez Śląsk, Niemcy... pieszko przyszedł do Francji. O pieniądzech na podróż nie było wtedy mowy.

— Myśmy zaczęli inaczej nasze życie niż zaczynają je dziś młodzi w Polsce — wspomina p. Bolesław BAK. — Przyjechałem do Troyes w 1926 roku, ale zanim tu dojrzałem, ile przecież już nędzy przeszedłem! Dziś jest nam z żoną tu dobrze, ale i wiek, i zdrowie dają już znać o sobie. Mam 66 lat...



Wszyscy — i Szajnowie i Bakowie odwiedzali już krewnych w Kraju. Zobaczyli zmiany w swych stronach, rodzinę i Polskę, o której przecież w ciągu tych wszystkich lat nie zapomnieli.

HASŁO: „PRZYSŁAŁ LUDWIK”...

Ile osób przewinęło się w okresie okupacji hitlerowskiej przez dom państwa Łuczkiwiczów? Dobrze ponad setkę. Zwykli żołnierze, oficerowie, marynarze, lotnicy. Pukali do drzwi państwa Sewerynów ŁUCZKIEWICZÓW i mówili: „Przysłał Ludwik”... „Przysłała Hanna”... Małego synka nosili wtedy na rękach (dziś syn państwa Łuczkiwiczów jest już po służbie wojskowej i liczy 25 lat), bo mniej podpadało i było bezpiecznie, nocowali w ukryciu, a p. Seweryn Łuczkiwicz wraz z innymi przygotowywał dokumenty i gdy były już gotowe, pisał do Paryża: „Książki przeczytane”.

Był to znak, że papiery już gotowe, i Hanna przyjeżdżała, zabierała byłych żołnierzy, uciekinierów z oflagów, stalagów, tych, którzy legalnie nie mogli żyć we Francji okupowanej przez hitlerowców i wywoziła ich w bezpieczne miejsce.

Dziś Felicja i Seweryn Łuczkiwiczowie nieraz oglądają odznaczenia, dyplomy, jakie otrzymali za swą pomoc jeńcom i żołnierzom podczas okupacji. Oglądają, pokazują synowi i wyjaśniają:

— To jest ojca i mój „Medaille de Libération” — mówi pani Sewerynowa (jak wszyscy ją nazywają). — To jest odznaczenie Polskiego Ruchu Oporu we Francji, a to — ojca Brązowy Krzyż Zastugi z Mieczami i polskie odznaczenie „Polska swemu Obrońcy”. A to ojca i moje odznaczenie Société d'Encouragement au Devouement i ostatnio otrzymane medale belgijskie Association Nationale des Filieristes — „Passeurs d'Hommes de Belgique”...

Oprócz medali i odznaczeń są w rodzinnym archiwum państwa Łuczkiwiczów i cenne dokumenty — np. Diplome d'Inscription au Livre d'Or des Batailles de France, w którym m.in. czytamy: „Łuczkiwicz Seweryn, Resistance „Monica”, région Parisienne, est inscrit sur le „Grand Livre d'Or des Batailles de France N° 1505”. Dyplomy belgijskie Felicji i Seweryna Łuczkiwiczów mówią: „Passeur courageux et actif, a, durant l'occupation ennemie, contribué à secourir, à leur passage en Belgique, des prisonniers évadés d'Allemagne, parachutés et patriotes recherchés par l'ennemi”.

Patrząc dziś na te pamiątki, pani Sewerynowa czy pan Seweryn przypominają sobie odległe już dzieje:



Pan Edmund Kierzkowski (z lewej) ogląda z satysfakcją stare pamiątki z dawnej działalności Towarzystwa Pomocy Oświatowej. Siostra pana Edmunda, Izabela Kierzkowska-Suwałowa (w środku) była w latach trzydziestych sekretarką Towarzystwa. Również żona pana Kierzkowskiego (z prawej) uczestniczyła przez wiele lat w aktywnej działalności zasłużonego Towarzystwa Oświatowego w Troyes

— Jak się nazywa ten, co się potem ożenił koło Lens z Kasią Górecką? Nie pamiętasz? A pamiętasz tego marynarza, cośmy go nazywali „Stumciu”? A to był chyba Borczyk, co miał taki straszny katar? I pęcherze miał na nogach. Musiałam go leczyć...

Syn państwa Sewerynów Łuczkiwiczów, Mieczysław, słucha dziś o tych sprawach i dumny jest ze swych rodziców. Stworzyli mu nie tylko serdeczny dom rodzinny, ale przecież z narażeniem własnego życia przyczynili się do tego, by Francja i Polska, którą tak bardzo kochają, były znowu wolne... Państwo Łuczkiwiczowie wszyscy razem odwiedzili Kraj, zachwycali się odbudowaną Warszawą, którą p. Sewerynowa pamięta jeszcze z dawnych lat.

Wszyscy razem też prowadzą zakład rzeźniczy i smaczne wędliny p. Seweryna, w tym i polska pasztetówka, kiełbasa krakowska, salceson itp. znane są w całym Troyes.

ZASŁUŻONY CZŁONEK TOWARZYSTWA POMOCY OSWIATOWEJ

— To było już w 1936 roku — mówi p. Edmund KIERZKOWSKI. — Dostałem wtedy dyplom jako zasłużony członek Towarzystwa Pomocy Oświatowej, wiceprzewodniczący, i przewodniczący Towarzystwa. Cała nasza rodzina — i ojciec, i matka, i siostra, która do dziś mieszka w Troyes, Izabela Kierzkowska-Suwałowa udzielaliśmy się w Towarzystwie Pomocy Oświatowej. Matka uszyła sztandar, ojciec był chorążym, siostra Izabela była w trzydziestych latach sekretarką Towarzystwa i tłumaczką na język polski...

Przygotowywanie sztuk teatralnych, uroczystości, bale — to była codzienna praca społeczna p. Kierzkowskiego w Towarzystwie. Toteż dziś cieszy się p. Edmund, że p. Mieczysław PROCH i jego synowie nie szczędzą sił i czasu na działalność w Towarzystwie Pomocy Oświatowej.

— To dobrze, że i młodzi się wciągają — mówi p. Kierzkowski. — Bo przecież dziś praca Towarzystwa ma już inny charakter. Niektórzy młodzi pochodzenia polskiego, tutaj urodzeni, już nie mówią po polsku, a i rozrywki są dziś dla młodych całkiem inne niż przed trzydziestu, czterdziestu laty...

Pan Edmund Kierzkowski jest z zawodu stolarzem. Mieszka w Troyes od 1924 roku. W 1958 roku postawił sobie ładny domek w ogrodzie. Oto wynik jego pracy.

— W tym roku wybiorę się chyba po raz pierwszy do Polski. Chcę zobaczyć, jak teraz wyglądają moje strony — Poznańskie. Siostra, która już była w Kraju, tyle mi przecież o wszystkim opowiadała... — kończy p. Kierzkowski.

*

Oto niedzielna wizyta w kilku domach w Troyes, u kilku spośród licznych rodzin polskiego pochodzenia. Losy odmienne, ale równocześnie i bardzo do siebie podobne. Wspólne mają wszystkie to, że swą postawą i pracowitością ludzie ci w ciągu wielu lat swojego życia w Troyes zdobyli nie tylko uznanie i szacunek otoczenia, ale przysporzyli też wiele dobrego imieniu Polski — Kraju, w którym się urodzili.

Urszula KOZIEROWSKA



Zdjęcie z zebrania Towarzystwa Pomocy Oświatowej w 1939 r. Edmund Kierzkowski stoi w ciemnym garniturze w środku. Drugi po lewej siedzi p. Mieczysław Proch — prezes Towarzystwa. Niżej: pamiątkowe zdjęcie z jednego z przedstawień w 1939 r. (Pan Edmund Kierzkowski siedzi przy fortepianie)



A votre service
tous les services de la

BNP

banque
nationale
de Paris

LILLE

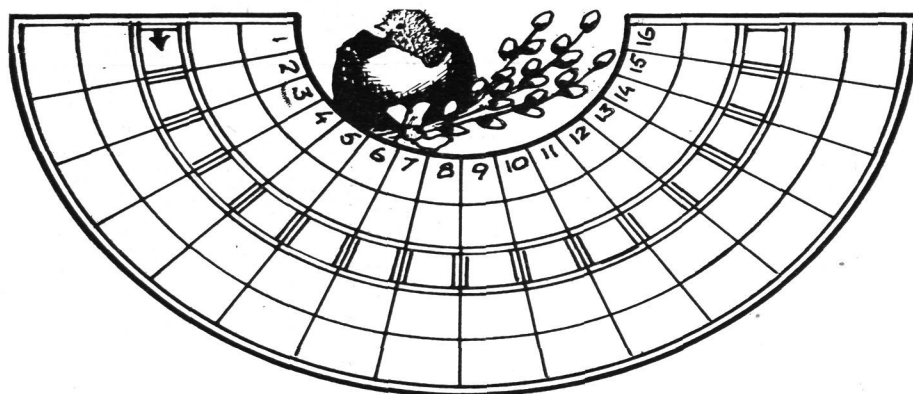
Nombreuses Agences à votre disposition

AUCHEL-BETHUNE-BRUAY
CARVIN-DOUAI-LENS

Krzyżówka z pisanką

POZIOMO: 1) jajko wielkanocne, 4) ironiczna drwina, szyderstwo, 7) rzecz tajemnicza lub pytanie do rozwiązania, 9) pozostałość, ostatek, 11) pływający lód, 12) oklaski, 13) kotka na wierzbie, 14) konnica, kawaleria, 16) mają spodnie eleganta, 18) ciasto wielkanocne, 20) podchodzenie lub zjazd na nartach zygakiem, 23) coś bardzo wielkiego o olbrzymich kształtach, 25) dramat śpiewany z udziałem orkiestry, 26) bywa czasem szczęśliwy na loterii, 28) można wygrać lub przegrać, 29) to samo co sylaba, 30) podium dla orkiestry, 31) reumatyczny ból w kościach.

PIONOWO: 1) piosenka sezonu, 2) wielkie ubóstwo, 3) natarcie, szturm, 4) woda w stanie lotnym, 5) znaczna ilość, zapas, 6) budy pasterzy góralskich na halach, 8) karciarz, 10) dwanaście sztuk, 15) warsztat do naprawy okrętów, 17) papuga o bardzo długim ogonie i barwnym upierzeniu, 18) suszone owoce południowe pomieszczone z orzechami, piernikami i marmoladkami, 19) zespół tancerzy i tancerek, 21) plama w zeszyty, 22) drapieżniki żywiące się padliną albo ludzie żerujący na cudzym nieszczęściu, 24) mnóstwo strzałów z automatu, 25) część stronnictwa, frakcja, 26) tkanina jedwabna przetykana złotem lub srebrem, 27) wielkie podniecenie, furia.



Logogryf

Prosimy odgadnąć 16 wyrazów pięcioliterowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je odśrodkowo do odpowiednich kratek rysunku. Dla ułatwienia podajemy, że początkowe litery wszystkich wyrazów są takie same. Litery środkowe wpisanych wyrazów, które się znajdują w kratkach o podwójnej ramce, czytane w kierunku oznaczonym strzałką, dadzą hasło zadania.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) wraz z Gawłem w jednym mieszał domku, 2) grzbiet albo protekcja, 3) wielka namiętność albo gniew, wściekłość, 4) roślinina, która dostarcza kaszy jaglanej, 5) kawał słoniny, 6) utwór poetycki do śpiewania, 7) pościg, 8) materiał wybuchowy do broni palnej, 9) prawobrzeżna Warszawa, 10) „kierowca” samolotu, 11) taniec wirowy z pochodzenia czeski, a z nazwy polski, 12) kropki na nosie, 13) ogląda, kultura towarzyska, 14) tkanina podobna do aksamitu, lecz odróżniająca się dłuższym włosiem, 15) biały, arlekin, trefniś, komiczna postać, 16) nieszczęście, kara boska lub rzecz niezdolna, przykra.

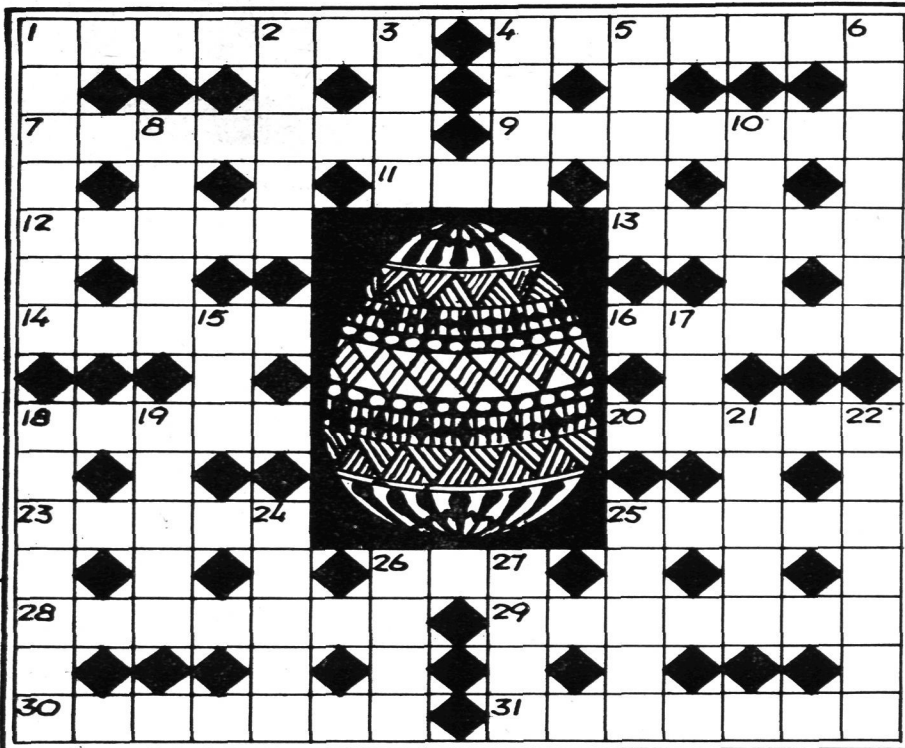
Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane NAGRODY KSIĄŻKOWE.

ROZWIĄZANIE SZYFROGRAMU z nr 9

Święta miłości kochanej ojczyzny,
Czuja cię tylko umysły pocziwie!
Dla ciebie zjadł smakują truczizny,
Dla ciebie więzy, pęta niezływe.

(Ignacy Kraszewski — MYSZEIS)

KLUCZ POMOCNICZY: cięcie, lejce, święto, numer, szyny, szczęście, jajo, ciełe, muly, kij, pączek, żmija, bąk, widły, ły, pyzy, nizina, licho, duet, data, wycie, tuz, laba, owoce.



TV od 26 marca do 1 kwietnia

PROGRAM I (première chaîne)

DZIENNIK — Télé-Midi o 13.00, Télé-Soir o 20.00 i Télé-Nuit między 23.30 a 23.55.

WIADOMOŚCI REGIONALNE od 19.40 oprócz niedzieli.

PARIS-CLUB — w poniedział., wtorek, środę, piątek o 12.30.

EN FAMILLE — o 19.25, oprócz soboty i niedzieli.

NIEDZIELA 26 MARCA

11.00 Msza z Katedry św. Filipa Néri z Arundel.
11.55 Błogosławieństwo „Urbi et Orbi” Ojca świętego.
14.30 Télé-Dimanche — Charles Aznavour i Pia Colombo.
17.15 Kiri le Clown.
17.25 Au son des guitares. Film P. Ducisa (Tino Rossi).
19.30 Quant la liberté venait du ciel.
20.45 Arsène Lupin contre Arsène Lupin — film.
22.35 60 millions de Français.

PONIEDZIAŁEK 27 MARCA

13.30 La séquence du spectateur. Fragmenty filmów.
14.00 En direct: Les bateaux-pompes de Marseille, real. C. Paolini.
14.35 A quoi rêvent les jeunes filles Musseta.
18.25 Magazyn kobiecy.
18.55 Zawody pływackie Hiszpania — Francja (z Barcelony).
20.30 Pas une seconde à perdre.
21.10 Présence du passé (nr 1). Valmy.
22.15 Commando spatial.

WTOREK 28 MARCA

20.30 En votre âme et conscience, real. Claude Barma.

ŚRODA 29 MARCA

18.25 Sports Jeunesse.
20.30 Sacha Show.
21.30 Salut à l'aventure.
CZWARTEK 30 MARCA
16.15 Program dla młodzieży (do 19.20).
20.30 Palmarès des chansons.
21.40 Cinéma — real. Frédéric Rossif.

PIĄTEK 31 MARCA

20.20 Panorama — tygodniowy magazyn aktualności.
21.30 Que ferez-vous demain? J. Cherasse'a.

21.40 A vous de juger — aktualności filmowe.
23.10 Permis la nuit, real. Raoul Sangla.

SOBOTA I KWIECIEŃ

14.55 Rugby — Francja — Walia (Cinq Nations).
17.30 Magazyn kobiecy.
18.30 Le petit conservatoire de la chanson.
20.30 Vidocq: Le chapeau de l'Empereur.
20.55 Program variétés.
21.55 Magazine des explorateurs P. Sabbagha.
22.35 Les descendants, real. Victor Vicas (Les Romanoff).

PROGRAM II (deuxième chaîne)

DZIENNIK — Télé-Soir między godz. 22.30 a 23.55.

VIENT DE PARAÎTRE i **UN AN DÉJÀ** na przemian o 20.00 oprócz niedzieli.

ALLO ICI POLICE — o 20.15, oprócz niedzieli.

NIEDZIELA 26 MARCA

14.45 Adèle.
15.10 La Galerie du Mystère — film G. Graysona.
21.30 Les heures chaudes de Montparnasse: Giacometti.
22.45 Catch.

PONIEDZIAŁEK 27 MARCA

20.30 Souviens-toi ma jolie (nr 1), real. F. Chatel.
21.00 Six heures à perdre — film Alexa Joffe.
22.55 Banc d'essai.

WTOREK 28 MARCA

20.30 Souviens-toi ma jolie (nr 2).
21.00 Central variétés — program Erica Olliviera.
22.00 Les écrans de la ville, nowości filmowe.
22.50 Conseils utiles et inutiles — płytoteka.

ŚRODA 29 MARCA

20.30 Souviens-toi ma jolie (nr 3).
21.00 Montparnasse: Le groupe des six.
22.00 L'abandon de Leonard Keigel — film.

CZWARTEK 30 MARCA

20.30 Souviens-toi ma jolie (nr 4).
21.00 Le prix d'un homme — film L. Andersona.

PIĄTEK 31 MARCA

20.30 7-e art, 7-e case.
21.00 Verdict.
23.30 Camille Sauvage et son orchestre.

SOBOTA I KWIECIEŃ

18.30 Sport débat.
20.30 Au risque de vous plaire — J. C. Avertyego.
21.15 On ne badine pas avec l'amour Musseta.

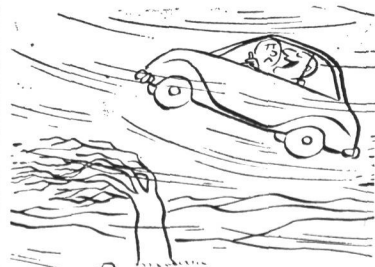
HUMOR



— Pospaceruj jeszcze trochę, póki nie skończę pastować...
— Promène-toi encore un peu, que je finisse de cirer le parquet...



— Psia pogoda, chyba zostaniemy jednak w domu, kochanie...
— Quel sale temps! On reste à la maison, hein, chérie?...



— Fantastycznie trzyma się szosy ten mój nowy wózek, prawda?...
— Elle colle vraiment à la route, cette nouvelle voiture...

RADIOODBIORNIKI — TELEWIZORY

♦ Lodówki, maszyny do prania i inne artykuły gospodarstwa domowego ♦

LENG — PICARD ET C-je 16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy

Telefony: 73.39.42 73.29.47

ROUBAIX (Nord)

TYGODNIK POLSKI

La Semaine Polonaise

23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51

Président Directeur

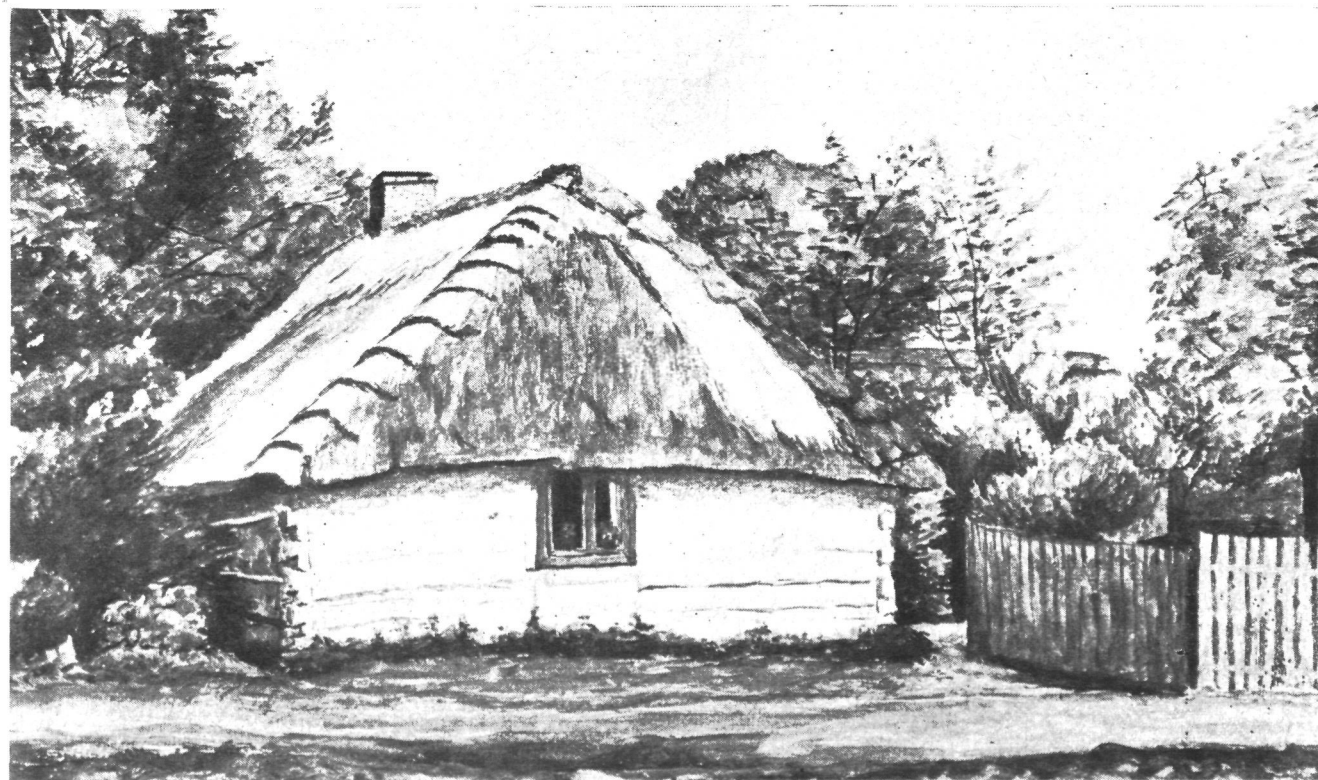
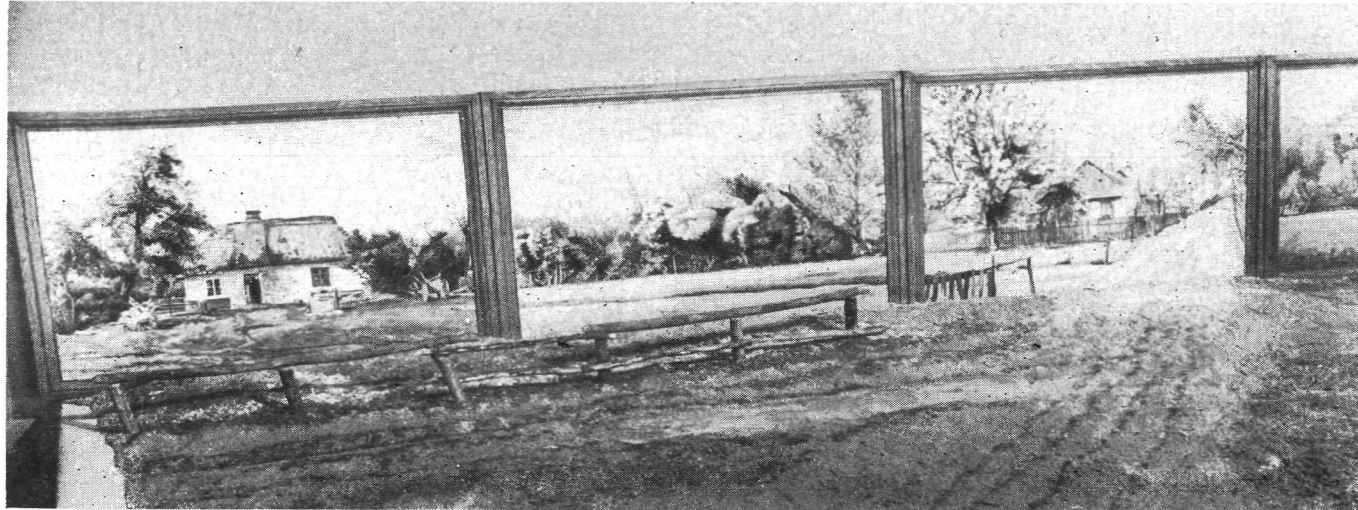
Général: Danuta
JAGOSZEWSKI Bienaimé

IMPRIMERIE

Zakład Graficzny „Ruch”
Varsovie, ul. Ludna 4

DEPUIS longtemps les „peintres du dimanche” ou „du septième jour” ont acquis droit de cité dans les expositions, les galeries ou les musées. Non sans raison, puisque leur art présente souvent une telle fraîcheur d'expression, une telle émouvante simplicité, que connaisseurs ou simples spectateurs en sont saisis. En Pologne, les „peintres du septième jour” semblent plus nombreux qu'ailleurs, peut-être grâce aux nombreuses maisons de la culture qui leur offrent des conditions favorisant la création.

Bełżyce, dans la région de Lublin, sont une agglomération de quelque milliers d'habitants à peine. Parmi eux, deux peintres amateurs — Stefan Wójtowicz et Tomasz Kasperski — se montrent sensibles au charme désuet des villages gardant leur aspect d'antan. Notre photo-reporter l'a constaté à l'exposition de leurs toiles et aquarelles organisée justement à la Maison de la Culture de Bełżyce.

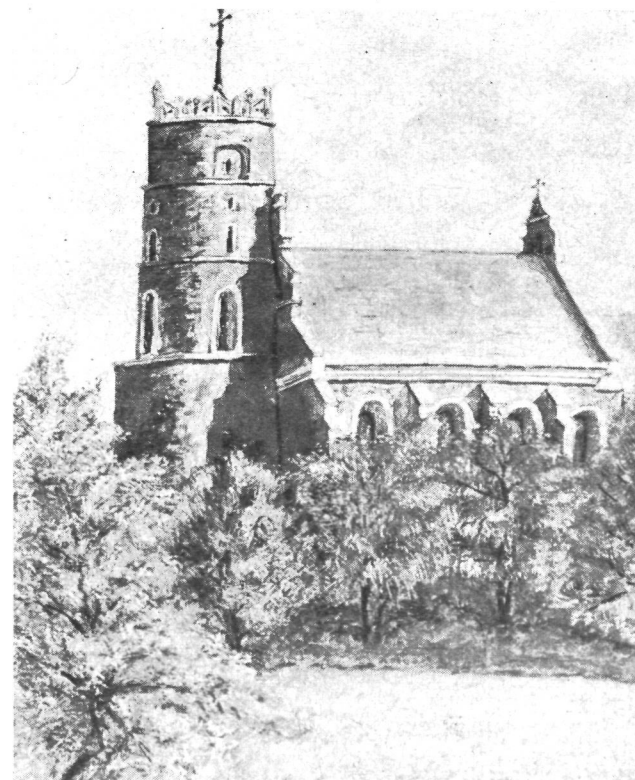
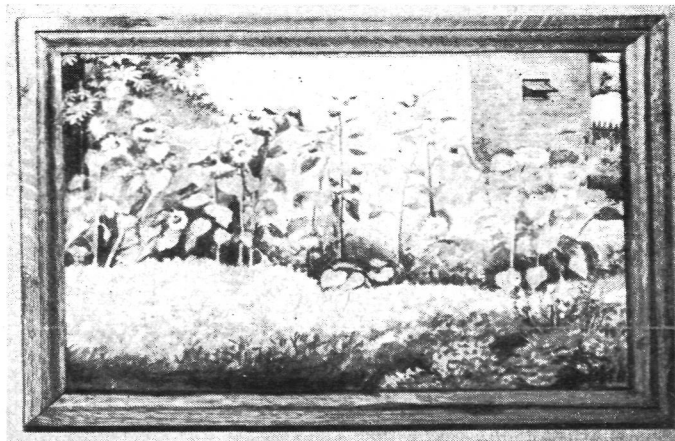


MALARZE niedzielni — jak wskazuje nazwa — zajmują się sztuką od święta, po pracy na roli, w hucie, kopalni czy w biurze. We Francji ruch malarzy-amatorów obejmuje przede wszystkim środowiska górnicze, nazywa się ich twórcami siódmego dnia. W Polsce ruch amatorskiego malarstwa grupuje znacznie szersze kręgi. Każde województwo, każdy region ma ludowych artystów-amatorów czerpiących natchnienie z ziemi, na której żyją, z obyczajów ludowych i obserwacji życia w swojej wsi, osiedlu, mieście. Utrwalają te obserwacje na płótnie, w kamieniu, w drewnie, a nawet w metalu.

Osadę miejską Bełżyce na Lubelszczyźnie zamieszkuje zaledwie kilka tysięcy ludzi. Leży nad rzeką Bystrzycą, w krainie równinnej, w otoczeniu starych wsi. Można znaleźć tu zakątki żywo przypominające opisy dawnych polskich wsi z najpiękniejszych utworów literatury narodowej: bielone chaty otoczone sadami, rzędy malw rosnące wzdłuż płotów, stare ule kryte słomą.

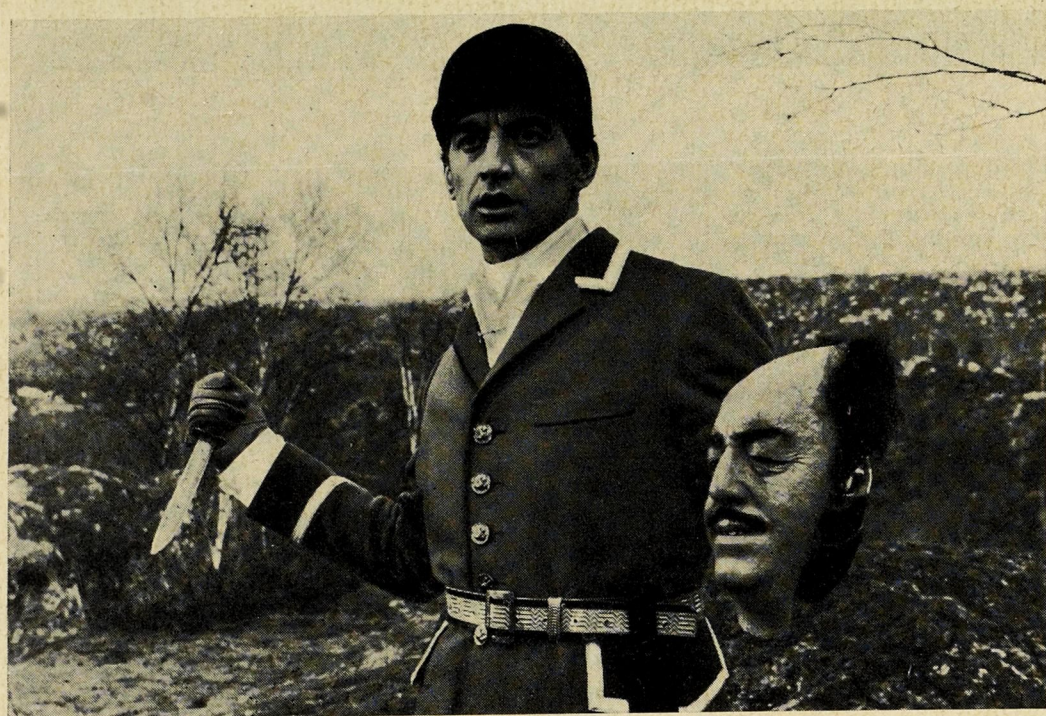
Pejzaż starej wsi stał się natchnieniem dla miejscowych malarzy-amatorów — Stefana Wójtowicza i Tomasza Kasperskiego. W Miejskim Domu Kultury na wystawie swoich prac malarze-amatorzy z Bełżyc zaprezentowali na kolorowych płótnach i akwarelach odchodzący już w zapomnienie pejzaż starej wsi, uroczych zakątków obejść gospodarskich.

Pejzaż starej wsi



NOWE

FILMY NA EKSPANACH



FANTOMAS CONTRE SCOTLAND YARD



JEST TO trzeci film z serii „Fantomasów”, którą realizuje André Hunebelle, mistrz filmów przygodowo-sensacyjno-niesamowitych (Les mystères de Paris”, „Mission à Tanger”, „OSS 117”, „Furia à Bahia”, „Fantomas”, „Fantomas se dechaine” i wiele innych).

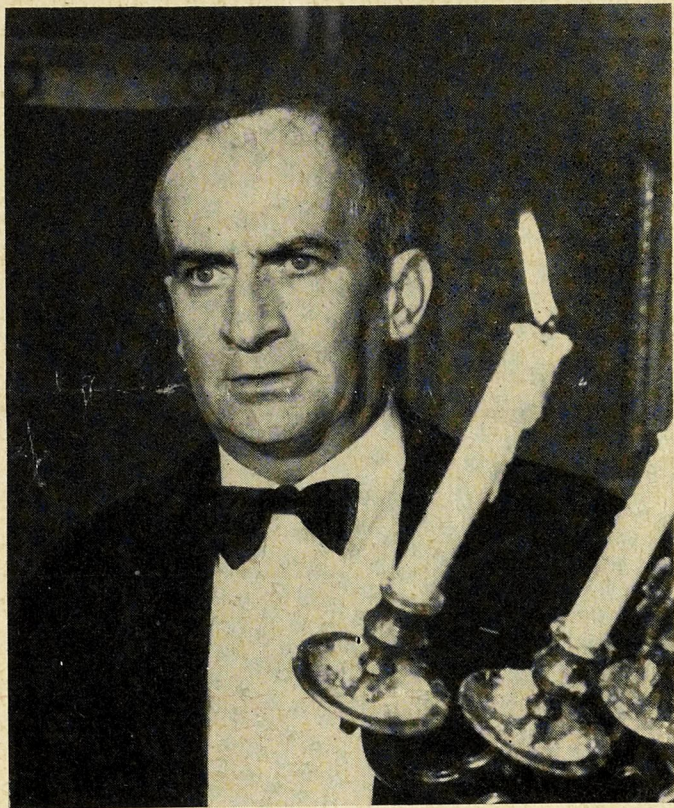
Niewątpliwie i „Fantomas contre Scotland-Yard” podzieli sukcesy poprzednich filmów. Jest to historia pełna zaskakujących, fantastycznych, niesamowitych, a jednocześnie tryskających humorem i dowcipem sytuacji. Dobrych znajomych z tej bijącej rekordy powodzenia „widmowej” serii spotykamy w nowych perypetiach, które może jedynie opowiedzieć sam film.

MINUIT à Urquart-Castle en Ecosse. Panique chez les fantômes... „Fantomas est parmi nous”... Un mort... un pendu... un mort... un pendu... quand Fantomas passe toujours quelqu'un trépassé... Qu'a-t-il encore inventé?

Une nouvelle formule de chantage pour prélever des sommes fabuleuses aux riches de la haute société... ou de la pègre. Un bureau de perception qui taxe d'un impôt sur „le droit de vivre” les favoris de la fortune. Aussi nous assistons à des situations incroyables, le commissaire Juve suivant pas à pas son vieil ennemi, Fantomas.

Juve va-t-il en perdre la raison? Les pendus se défont, les morts ressuscitent, les vrais et les faux fantômes disparaissent.

Quant à Fantomas, tantôt gangster, tantôt lord, il change d'apparence à un tel rythme que Juve Fandor et Hélène ne savent plus Qui est Qui?... Suspense, poursuites, bagarres, rires, la fantaisie bat le fantastique dans „FANTOMAS CONTRE SCOTLAND YARD”.



JEAN MARAIS jako Fantomas-Fandor jeszcze raz potwierdza sympatię i popularność, jaką cieszy się od wielu lat wśród publiczności całego świata. LOUIS DE FUNÈS w roli komisarza Juve jak zwykle każe nam wierzyć w zidentyfikowanie się aktora z postacią. Pełna wdzięku i komizmu MYLÈNE DEMONGEOT (Hélène) oraz Jacques DYNAM, Henri SERRE, Françoise CHRISTOPHE i Jean-Roger COUSSIMON uzupełniają doskonałą obsadę filmu.

